

WSZYSTKIE TRUPY Kryminalne zagadki starożytnych PROWADZĄ DO RZYMU



**EMMA
SOUTHON**

HI:STORY

**WSZYSTKIE
TRUPY
PROWADZĄ
DO RZYMU**

EMMA SOUTHON

**WSZYSTKIE
TRUPY
PROWADZĄ
DO RZYMU**

**Kryminalne zagadki
starożytnych**

TŁUMACZENIE MACIEJ MIŁKOWSKI

HI:STORY
KRAKÓW 2023

Tytuł oryginału: *A Fatal Thing Happened on the Way to the Forum.*
Murder in Ancient Rome

A Oneworld Book

First published in Great Britain and the Republic of Ireland by Oneworld Publications, 2020

Copyright © Emma Southon 2020

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Copyright © for the translation by Maciej Miłkowski

Wydawca prowadzący: Szymon Langowski

Redaktor prowadzący: Anna Małocha, Dagmara Małysza

Przyjęcie tłumaczenia: Agnieszka Tabor

Weryfikacja merytoryczna: dr Wojciech Pietruszka

Opracowanie typograficzne książki: Wydawnictwo Otwarte

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Justyna Tarkowska / Mile Widziane

Ilustracje na okładce: Apollo – alexrockheart / Creative Market,
Forum Romanum – Alex Bakani / Creative Market

ISBN 978-83-8135-309-0

HI:STORY

www.wydawnictwohistory.pl

Dystrybucja: SIW Znak.

Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dobro i zło nie są ani czymś absolutnym,
ani czymś relatywnym – to raczej kwestia geometrii.*

MARK COONEY, *Is Killing Wrong?*

Wojsko uczy nas zabijać, ale nie uczy nas mordować.

Casefile, EPIZOD 90

*Dla Amy-Elizabeth, Jess i Kate,
moich współniczek zbrodni*

ROZDZIAŁ 1

Morderstwo na posadzce senatu

Niczym zespół, który na początek gra swój największy przebój, my też zacznijmy od historii, która najpewniej skłoniła was do sięgnięcia po tę książkę. Zacznijmy od giganta górującego nad całym światem, od największego z rzymskim mordstw, od postaci żyjącej w zbiorowej świadomości od dwóch tysiącleci: od Gajusza Juliusza Cezara. Problem z zamordowaniem Cezara polega na tym, że wszyscy myślą, iż już wszystko o nim wiedzą. Widzieli tragedię Shakespeare'a w jakimś lokalnym teatrze albo wersję BBC, albo adaptację filmową z Marlonem Brando w roli Marka Antoniusza. Może widzieli *Rzym* na kanale HBO, a może czytali powieść Roberta Harrisa albo Conna Igguldena na ten temat. Nie brakuje fikcji pokazującej Cezara wykrwawiającego się na posadzce senatu. Każdy w zachodnich społeczeństwach wie, czym są idy marcowe, nawet jeśli niezbyt dokładnie się orientuje, kiedy one wypadają*.

* 15 marca.

Każdy potrafi sobie wyobrazić, jak czterdziestu ludzi dźga Cezara, a on patrzy na nich i mówi: „*Et tu, Brute?*”.

O zabójstwie Juliusza Cezara wiemy dużo z kilku powodów. Po pierwsze, sami Rzymianie sporo o nim pisali i zostawili nam szczegółowe opowieści o wydarzeniu marcowym i jego następstwach. Po drugie, Cezar, umierając, zabrał ze sobą samą republikę, która dla Rzymian wiele znaczyła. A poza tym historia ta jest niezwykle dramatyczna. Arogancki generał, który ogłosił się dożywotnim dyktatorem, ignoruje wieszczków oraz sny i łkania żony, idąc na spotkanie własnej śmierci. Umiera na posadzce senatu u stóp swego największego rywala, a jego ostatnie słowa stanowią świadectwo świadomości, grozy i upokorzenia na myśl, że zabija go najbliższy przyjaciel i że nikt nie przyjdzie mu z pomocą. W ostatnim geście zakrywa samego siebie – i swoją godność – togą, do samego końca dbając o sceniczny efekt. Wszystko to sprawia, że Juliusz Cezar jest bardziej mitem niż człowiekiem – jest historią, którą się opowiada. Zamordowanie go nie zostało zapamiętane jako krwawy ludzki czyn, przeprowadzony przez czterdziestu przerażonych gości w niezgrabnych ubraniach, którzy byli w takim pomieszeniu, że zdołali zadać jedynie dwadzieścia trzy rany kłute (gdy się to policzy, wychodzi około pięćdziesięcioprocentowy wskaźnik trafień). A przecież Juliusz był człowiekiem, który żył, oddychał i przewracał oczami, a pewnego dnia poczuł dziwne uderzenie w bok, który nagle stał się bardzo bolesny i mokry od krwi. Zabicie go nie było jednak zdarzeniem wyjątkowym. W ostatnich latach rzymskiej republiki stanowiło jedno z serii politycznych morderstw, które razem wzięte pokazują nam, jak osobliwą sprawą były

morderstwa polityczne w świecie rzymskim i jak się one zmieniły w miarę upływu czasu. Wyznam w tym miejscu, że trochę was podpuściłam. Zagrałam pierwsze akordy bardzo znanej piosenki. A teraz zabiorę was w czasy niemal o sto lat wcześniejsze niż chwila śmierci JC, by przedstawić wam Tyberiusza Grakchusa, którego zamordowanie to jeszcze większy pokaz grozy niż zabicie Cezara.

Tyberiusz Grakchus

Tyberiusz Grakchus zapisał się w pamięci jako człowiek naprawdę wyjątkowy, głównie za sprawą swojej śmierci. Wskazuje ona na upadek republiki w równie dużym stopniu co śmierć Juliusz Cezara, bo to od niej zaczęło się stulecie otwartej wojny domowej w Rzymie. I nie jest to żadna metafora. Senatorowie dźgali się na śmierć z przerażającą częstotliwością przez niemal stulecie – a bardzo często działo się to w centrum miasta. Zapanowała prawdziwa epidemia nożownictwa wśród najbogatszych i najpotężniejszych ludzi w imperium rzymskim. Teoretycznie skończyła się ona wraz z zasztyletowaniem Cezara albo może wtedy, gdy Oktawian uporał się z Antoniuszem i Kleopatram pod Akcjum. Prawda jest taka, że senatorowie wcale nie przestali wówczas próbować się nawzajem pozabijać – po prostu zrobili się bardziej podstępni. Zanim jednak do tego dojdziemy, musimy przyjrzeć się, jak morderstwo stało się sprawą tak ważną w polityce rzymskiej. Bardzo mi

przykro, ale czeka nas sporo mówienia o polityce, jak również pogawędka o reformie rolnej, a to naprawdę okropna sprawa. Razem jednak damy radę przez to przejść, nie traćcie wiary.

Od czasu, gdy Rzymianie wygnali swojego króla z miasta (co ciekawe, nie zabijając go) i skonstruowali swą wspaniałą republikę, opartą na podziale władzy, wszyscy prowadzili wojnę ze wszystkimi. Najpierw patrycjusze walczyli z plebejuszami, co szybko przerodziło się w walkę posiadających ziemię z jej nieposiadającymi, a ostatecznie popularów z optymatami. Popularzy stanowili stronnictwo populistyczne, zdobywające poparcie ludu przez rozdawnictwo, podczas gdy optymaci byli dobrze urodzonymi patrycjuszami o wielkich aspiracjach, którzy dosłownie nazywali się „najlepszymi ludźmi” i uważali, że lud należy trzymać tak daleko od władzy, jak tylko to możliwe. Wszyscy zaś chcieli posiadać italską ziemię, bo w czasach starożytnych wszelkie bogactwo opierało się na posiadaniu ziemi. Ziemia oznaczała pieniądze, tak samo jak dziś nieruchomości w Londynie, Dublinie czy Nowym Jorku oznaczają pieniądze. Biedni chcieli więc mieć pół akra własnej ziemi, a nie wynajmować pokój z prysznicem w kuchni, podczas gdy bogaci chcieli rozwijać olbrzymie winnice i żyć w nich, nie musząc patrzeć na biednych. Gdy potęga i wpływy Rzymu rosły w całej Italii w V wieku p.n.e., biedni postrzegali każdy kolejny triumf jako okazję do zagarnięcia części ziemi dla siebie – ostatecznie to oni walczyli w armiach podbijających italskich sąsiadów. Na nieszczęście dla nich nie mieli jednak takiej mocy, a patrycjusze po prostu przyznawali ziemię sobie. Albo też przeznaczali ją na „użytek publiczny”, a potem wynajmowali samym sobie za absurdalnie niski czynsz, sprawiając,

że Rzymianie bez ziemi nadal ziemi nie mieli, i zwiększając szereg tych nieszczęsnych mieszkańców Italii, których właśnie podbiły krwiożercze bestie z Rzymu. Zachowywali więc ziemię, uprawiali ją, przekazywali rodzinie, sprzedawali i kupowali.

W kolejnych pokoleniach ta „publiczna” ziemia stawała się w rodzinach rzymskiej arystokracji spadkiem, otrzymywanym po przodkach i przekazywanym potomkom. Stawała się ona ich dziedzictwem i posagiem ich córek, uważano ją za owoc ciężkiej pracy – i z całą pewnością nie zamierzano jej nikomu oddawać.

Możemy teraz już przeskoczyć do Tyberiusza Grakchusa, bo to nie jest książka o polityce w okresie republiki, powiedzmy tylko, że napięcia związane z posiadaniem ziemi stale występowały w republikańskim Rzymie, a między władzą ludu rzymskiego, wyrażaną w wyborach, a władzą senatu, wyrażaną w uchwałach, powstawał nieraz poważny rozdzźwięk. Wszystko to jest zupełnie nieciekawe, ale trzeba zaznaczyć, że do roku 133 p.n.e. posiadanie ziemi stało się nie tylko przedmiotem napięć, ale również bardzo konkretnym i pragmatycznym problemem rosnącego imperium rzymskiego i samego Rzymu. Miasto nie potrafiło się już samo wykarmić. Tak wiele ziem wokół Rzymu stało się terenami rekreacyjnymi dla arystokracji, pełnymi uroczych ogrodów i rozległych willi, że spadła produkcja żywności w Italii. Rzym stawał się coraz bardziej i bardziej zależny od importu, a to nic dobrego. Ekspansja i utrzymanie coraz potężniejszego imperium stały się zagrożone. Do roku 133 p.n.e. Rzym zdążył już podbić Italię, zniszczyć Kartaginę, kontrolować tereny Afryki Północnej,

a niedawno również podbić Grecję i Macedonię. Toczył walki najeźdźcze od dwóch stuleci i nie zamierzał się zatrzymać, co oznaczało, że potrzebni byli kolejni Rzymianie do armii i świeżo zbudowanej marynarki wojennej. Bardzo wielu Rzymian. Powstał jednak problem: służba w wojsku teoretycznie miała być przywilejem zarezerwowanym tylko dla właścicieli ziemskich, a Rzymowi kończyli się dostępni ludzie posiadający ziemię. Z perspektywy rzymskich obywateli trzeci problem stanowiło to, że do uprawiania ziemi trzeba było wykorzystywać coraz więcej niewolników, zamiast ziemię dzierżawić lub zatrudniać na niej wolnych pracowników. Pośród obywateli panowało przekonanie – niemal na pewno fałszywe – że ostatecznie zagraniczni niewolnicy przewyższą liczebnie Rzymian i stworzą egzystencjalne zagrożenie dla ich dominacji. To mniej więcej tak samo, jak kiedy pewien taksówkarz powiedział mi, że tak wielu ludzi z Europy Wschodniej „zalewa” Wielką Brytanię, że ostatecznie „Anglia zatonie” – ale o tyle gorzej, że ludzie „zalewający” rzymską wieś byli niewolnikami przemocą przesiedlonymi ze swoich krajów. Tego typu niepokoje doprowadzały jednak do powstawania rzeczywistych trudności.

Władze Rzymu musiały się więc skonfrontować z trzema problemami. Zdaniem naszego bohatera Tyberiusza Grakchusa najprostszym sposobem ich rozwiązania była redystrybucja ziemi. Wystarczyłoby osadzić pozbawionych ziemi Rzymian na rzymskich terenach, a wówczas wszystkie trzy problemy zostałyby rozwiązane jednocześnie – z takim dodatkowym zyskiem dla Tyberiusza Grakchusa, że zostałby on na wieki bohaterem ludu rzymskiego. Nie był to oczywiście pierwszy

człowiek sugerujący konieczność redystrybucji ziemi. Pierwszy, w roku 486 p.n.e., był konsul Spuriusz Kasjusz Wecellinus – lud rzymski był zachwycony, senat raczej przerażony. Drugi konsul i wszyscy senatorowie zachowali się tak, jakby Spuriusz próbował uciąć im nogi. Oskarżyli go o zbytne sprzyjanie ludowi i atak na ich wolności. Ostatecznie jego własny ojciec przeprowadził domową rozprawę, uznał go za winnego, po czym konsula powleczono po ulicach Rzymu i publicznie stracono¹. Nic dziwnego, że na pewien czas pozwoliło to zahamować ruch reform ziemskich.

Tyberiusz Semproniusz Grakchus był synem – oczywiście – Tyberiusza Semproniusza Grakchusa i Kornelii Afrykańskiej. Tyberiusz Starszy nie należał do patrycjatu, ale był człowiekiem wpływowym. Dwa razy wybrano go na konsula, odnosił sukcesy jako dowódca wojsk, został trybunem ludowym. Pełniąc ten ostatni urząd, wykorzystał prawo weta, by uchronić wielkiego wodza Scypiona Afrykańskiego od procesu, po tym jak został on oskarżony o przyjmowanie łapówek od króla Seleukidów Antiocha III. Scypion był tak zadowolony, że zaraz obiecał Tyberiuszowi swoją córkę Kornelię, nie zwracając sobie głowy konsultowaniem tego ani ze swą żoną, ani z samą córką. Tyberiusz Starszy i Kornelia mieli podobno dwanaścioro dzieci, z których troje dożyło dorosłości – jedno z nich to córka, a więc ona się nie liczy. Synami, którzy przeżyli, byli Tyberiusz Grakchus Młodszy i jego młodszy brat Gajusz Grakchus. Tyberiusz Młodszy był – tak się składa – niezwykle nudnym Rzymianinem. Może nawet najnudniejszym w całej rodzinie. Jego mamie zaś należy się statuetka w kategorii „najlepsza rzymska matka wszech czasów”. O tacie z kolei

opowiadano znaną powszechnie historię: pewnego dnia znalazł w swym domu dwa węże, samca i samicę (najwyraźniej był ekspertem od oznaczania płci węży; właśnie sprawdziłam tę rzecz w Google i okazuje się, że to trudna sprawa – pojawiają się tam słowa takie jak „kloaka” i „sonda”). Zrobił wówczas to, co zrobiłby każdy porządny Rzymianin, natykając się na niecodzienną sytuację – skontaktował się z wieszczkiem. Ten zaś nakazał mu, by zabił jednego węża i wypuścił drugiego. (Nie wiadomo, dlaczego wieszczkowie nigdy się nie tłumaczą). Jeśli zdecydowałby się wypuścić samca, a zabić samicę, zmarłaby jego żona, jeśli zaś wypuściłby samicę i zabił samca, wówczas sam by zginął². Tyberiusz bardzo kochał Kornelię, dlatego postanowił zabić węża związanego z własnym losem i niebawem zmarł z nieznanych przyczyn. Dobra historia. Brat Tyberiusza Gajusz był niezłym zadymiarzem – mówi się, że jest pierwszym człowiekiem w dziejach Rzymu, który przemawiając, rozchylił togę i odsłonił ramię – rzecz zarazem bezsensowna, jak i nieco seksowna. Zatrudniał też na pełen etat muzyka, który miał za nim chodzić i dla niego grać: uspokajając go, gdy był zbyt zdenerwowany, i pobudzając, gdy stawał się senny. Co za facet! Nawet ich siostra Sempronia, która z racji bycia kobietą w starożytnym Rzymie jest praktycznie niewidzialna w źródłach, została oskarżona o zamordowanie swego męża Scypiona Emiliana (równocześnie jej kuzyna). O Tyberiuszu nie ma zaś nic. Żadnych dobrych anegdotek. Całkowita osobowościowa próżnia. Dopóki w roku 133 p.n.e. nie został trybunem ludowym.

Trybunowie dzierżyli w Rzymie ogromną władzę – teoretycznie mieli być przedstawicielami rzymskiego ludu,

a Tyberiusz najwyraźniej brał to serio. Uznawszy konieczność redystrybucji ziemi za rozwiązanie rzymskich problemów, zaparł się i zaproponował powołanie komisji. Miała ona odnaleźć i skonfiskować ziemię, na której, dosłownie, siedzieli bogacze, po czym dokonać jej redystrybucji w postaci działek liczących pięćset *iugera* (około trzystu pięćdziesięciu akrów), aby każdy Rzymianin (mężczyzna) miał nie mniej, a najlepiej również nie więcej, niż pięćset *iugera* ziemi. Wszyscy byliby równi. Na domiar złego Tyberiusz wykorzystał oficjalną drogę postępowania dla trybunów i zamiast przedstawić swoją propozycję senatowi, zwołał zebranie ludowe (na które nie zapraszano patrycjuszy). Stojąc na Polu Marsowym naprzeciw tysiący miejskiej i wiejskiej biedoty, Tyberiusz po raz pierwszy przedstawił swą propozycję. Mówiąc w skrócie: zebrał wszystkich ubogich z Rzymu i dał im szansę, by zdecydowali, czy chcą dostać za darmo trochę ziemi, czy nie. Zarówno tribusy miejskie, jak i wiejskie – co nie zaskakuje – głosowały entuzjastycznie za wspaniałą propozycją Tyberiusza.

Senatorowie początkowo wzruszyli ramionami. Już wcześniej podejmowano próby tego typu i albo je ignorowano, albo bogacze z powrotem kupowali ziemię poddaną „redystrybucji”. Niestety dla nich Tyberiusz Grakchus znał historię i korzystając ze swojej uchwały, powołał komisję, która miała aktywnie konfiskować ziemię, a także zawarł w niej klauzulę zabraniającą późniejszej sprzedaży ziemi. Można ją było jedynie redystrybuować. Gdy wypracowano takie rozwiązania, bogacze wpadli we wściekłość. Czuli się tak samo, jak gdyby Tyberiusz zaproponował komisję do spraw redystrybucji ich córek i żon. Urządzane przez nich przyjęcia stały się więc

gniewnymi wiecami, na których dzielili się swymi troskami. Grecki historyk Appian z Aleksandrii, piszący wiele stuleci po tym, jak konflikt już dawno rozstrzygnięto, przedstawia skargi bogaczy obok skarg biedoty i sugeruje, że były one równe, co czyni jego dzieło zabawną lekturą. Appian mówi, że bogaci byli okropnie wściekli, że ziemia, na której ciężko pracowali i na którą wysyłali wielu niewolników, miała zostać im skradziona, a cała ich praca miała przepaść. Poza tym niektórzy kupili swoją ziemię od sąsiadów za uczciwą cenę po tym, jak tamci sąsiedzi wykradli ją państwu i ludowi rzymskiemu, więc mieli prawo czuć się oszukiwani. Inni odziedziczyli skradzioną ziemię od rodziców lub otrzymali ją jako wiano, jeszcze inni wzięli pożyczki pod zastaw ziemi – co mieli teraz począć?! Ich prestiż i majątek zostały brutalnie zaatakowane, a oni mieli teraz płakać w rękaw?³ Ustalono datę zgromadzenia, na którym zamierzano poddać ustawę pod głosowanie. Gdy wieść o tym się rozeszła, ludzie zaczęli napływać do miasta. Bogaci, zaniepokojeni, że mogą przegrać, sięgnęli po ulubioną rzymską zniewagę: oskarżyli Tyberiusza, że chce zostać królem. Niestety jednak Tyberiusz Grakchus zupełnie nie sprawiał wrażenia tyрана. Był na to zbyt szlachetny. Ograniczał się do wygłaszania wspańiałych przemówień, które sprawiały, że ludzie zaczynali wierzyć w lepszą przyszłość dla siebie. Jedną z nich cytuje Plutarch. Czytając ją, ma się ochotę wstać i zacząć śpiewać *Międzynarodówkę*:

Dzikię zwierzęta żyjące na ziemi italskiej mają w niej swoje legowiska, mają przynajmniej w niej nory i doły, w których mogą się schronić spokojnie, a ludzie walczący w obronie

Italii i życie swoje poświęcający dla jej sprawy nie mają w swej ojczyźnie niczego oprócz powietrza i światła! Bez domu i bez stałego miejsca zamieszkania błąkają się po świecie razem z dziećmi i żonami swoimi. Mamy tyle tysięcy obywateli rzymskich, z których żaden nie ma tu nigdzie ani ojczystego domu, ani grobowca swych ojców, ale każdy bije się tylko w obronie cudzego zbytku i bogactwa! Idą do walki na śmierć i wmawia się w nich przy tym, że są panami świata, a tymczasem żaden z nich nie posiada na własność ani jednej piędzi ziemi!⁴

Nadszedł wreszcie dzień rozstrzygnięcia sprawy. Rzym pęczniał od mieszkańców wsi, którzy przyjechali do miasta głosować, a także trzeszczał od wściekłości i przerażenia setek posiadaczy ziemskich. Wszyscy zasiedli pośród swoich trzydziestu pięciu tribusów zebranych na Polu Marsowym. Trybunowie i urzędnicy rozpoczęli posiedzenie. Najpierw, jak pisze Appian, Tyberiusz wspiął się na wyżyny, wygłaszając długą przemowę, która miała zadowolić wszystkich. Podkreślał, że celem ustawy jest dobro Rzymu – chwała rzymskiego ludu! – bo wówczas każdy będzie mógł wstąpić do wojska i walczyć, a gdy wróci do domu, będzie mógł uprawiać kilka akrów ziemi przez resztę życia. Co za wspaniała perspektywa! Tyberiusz zachęcał bogatych, aby spojrzeli na to jak na swój dar dla Rzymu i wszystkich przyszłych dzieci rzymskich, które narodzą się w tej pięknej rzymskiej krainie. Prawdę mówiąc, Grakchus poszedł na całość w odgrywaniu przyjaciela wszystkich. Nikogo jednak nie przekonał, co szybko pokazał drugi z trybunów, Marek Oktawiusz. Tyberiusz skończył mowę i nakazał

urzędnikowi, by odczytał na głos ustawę, nad którą miano głosować. Oktawiusz wystąpił i nakazał urzędnikowi, by tego nie robił. Zawetował głosowanie. Doszło do utarczek słownych między Oktawiuszem i Tyberiuszem, po czym zgromadzenie rozwiązano. Ludzi wysłano do domów i kazano im się zebrać nazajutrz. Nikt nie podaje, jak zareagował tłum, bo w chwili, gdy spisywano tę historię, lud już nikogo nie obchodził. Można sobie jednak wyobrazić, że tłum nie był zachwycony.

Następnego dnia zgromadzenie zwołano ponownie. Tysiące ludzi znów tłoczyło się na Polu Marsowym i czekało. Pojawili się trybuni i tym razem Tyberiusz zabrał ze sobą strażę dla ochrony. Całe szczęście nie wygłaszał przemowy. Urzędnik miał już czytać ustawę, ale Oktawiusz go głośno powstrzymał. W tym momencie doszło do awantury. Trybuni krzyczeli na siebie, a zgromadzenie zaczęło przeradzać się w zamieszki. Zanim sprawy wymknęły się spod kontroli, Tyberiusz krzyknął, że zamierza ponownie zwołać zgromadzenie, ale tym razem poprosi lud o zadecydowanie, czy Oktawiusz jako trybun działający przeciw interesom ludu powinien dalej pełnić swój urząd. Tak też zrobił. I wygrał głosowanie. Oktawiusza usunięto z urzędu, a przyjęto ziemską ustawę Tyberiusza. Komisja miała konfiskować ziemię i rozdawać ją ludowi. Zapanowała nieograniczona radość.

Senat nie był zachwycony, ale ostatecznie jego członkowie mieli się znaleźć na czele komisji, więc postanowili rozsądzić ją od środka, pracując zbyt ospale, by dało się zrealizować zaplanowane zadania. Tyberiusz teoretycznie wygrał, ale teoretyczne zwycięstwo nie dawało Rzymianom ziemi ani nie krzywdziło specjalnie senatorów. Wydawało się, że mimo

całego dramatyzmu reformy Tyberiusza skończą się tak jak wszystkie poprzednie próby. Miały ugrzęznąć w komisjach. Wtedy jednak nagle zmarł Attalos Filometor, król Pergamonu. Swój majątek zapisał ludowi rzymskiemu. Pergamon był bardzo dużym i bogatym miastem w dzisiejszej Turcji, gdzie brutalnie zaczęła wkraczać władza rzymska. Attalos obserwował długie i przerażające wojny w Grecji i Macedonii – widział, jak Rzymianie pacyfikują wszystkich na swojej drodze, miał więc nadzieję na ocalenie własnego miasta i ludu. Wiedział, że Rzymianie wkrótce wkroczą do Pergamonu, wobec czego, podporządkowując w swoim testamencie miasto Rzymianom, unikał jakiegokolwiek rozlewu krwi. W pewnym sensie to zadziało. Teoretycznie nie rozlano tam żadnej krwi. Miało się to jednak skończyć upadkiem Tyberiusza, który od razu rzucił się na okazję. Oto pojawiało się mnóstwo ziemi, którą można było natychmiast rozdać rzymskim obywatelom, nikogo przy okazji nie niepokojąc. Oto pojawiało się mnóstwo pieniędzy, z których pomocą Rzymianie mogli tę ziemię uprawiać. Bardzo dziękuję, Attalosisie – stwierdził Tyberiusz – od tego momentu ja się wszystkim zajmę i nie ma powodu niepokoić tym senatu.

Tyberiusz był już wówczas trybunem od roku i nadszedł czas, by ubiegać się o reelekcję. Bogacze bardzo chcieli usunąć go z urzędu, aby móc spacyfikować jego komisję, a najlepiej również wygnać z miasta, by im więcej nie przeszkadzał. Tyberiusz bardzo chciał dalej być trybunem, by móc chronić samego siebie i swoje dzieło. Obie strony działały energicznie. Tyberiusz zwoził wyborców ze wsi i osobiście zaczął ludzi na ulicy, by błagać o ich głos, co Appian uznawał za

nieco żenujące. Jego przeciwnicy stosowali strategię „każdy, tylko nie Grakchus” – prostą, ale bardzo skuteczną. Gdy zbliżał się dzień wyborów, atmosfera w Rzymie zrobiła się gęsta. W republikańskim Rzymie głosowanie odbywało się na Polu Marsowym. Wszyscy uprawnieni musieli stawić się osobiście, zasiąść pośród swojego tribusu i spędzić tu w praktyce cały dzień – głosowano ustnie jeden po drugim. Trwało to całe wieki i było bardzo nudne, chyba że coś zaczęło iść nie tak. Tamtego dnia sprawy poszły bardzo nie tak. Pierwszą próbę głosowania przerwano, gdy zaczynało się здаwać, że Tyberiusz wygrywa, a wówczas jego przeciwnicy zainterweniowali. Głosowanie anulowano i wszystko zaczęło się na nowo. Teraz wydawało się, że Tyberiusz przegrywa, więc zainterweniowali jego stronnicy i wszystko odwołano. Tyberiusz wrócił do swego domu, pod którym przez całą noc gromadzili się ludzie, wykrzykując swą złość i słowa wsparcia dla trybuna.

Następny dzień zaczął się źle, od serii omenów. Najpierw święte ptaki Rzymu odmówiły zjedzenia śniadania, co z pewnością oznaczało złe wieści. Potem, gdy Tyberiusz wychodził z domu, boleśnie uderzył się o próg w palec u nogi, złamał sobie paznokieć, zalewając sandał krwią. Mogło tak być dlatego, że krzyki ludzi na zewnątrz całą noc nie dały mu spać, ale drzwi i progi miały wielkie znaczenie symboliczne dla Rzymian, uznano to więc za znak od bogów, mówiący Tyberiuszowi, by zawrócił. Ten nie słuchał. Szedł dalej, a wówczas spadła na niego dachówka, zrzucona przez walczące na dachu wrony. Wszystko to były bardzo złowieszcze znaki, ale trybun się nie zatrzymał. Po poprzednim dniu głosowanie przeniesiono na Kapitol, bo spodziewano się, że tam ludzie będą się

lepiej zachowywać. Nie podziałało. Zanim Tyberiusz zjawił się na miejscu, obywatele podzielili się już na dwie rozwścieczone hordy, obie wściekłe z powodu unieważnienia ich głosu dzień wcześniej. Gdy inny trybun ponownie próbował zatrzymać głosowanie, wybuchły nieuniknione zamieszki. Wyrwano różgi z rąk liktorów i stronnicy Tyberiusza użyli ich jako broń, wypierając jego przeciwników z Kapitolu. Monumentalne centrum Rzymu ogarnął chaos, a Tyberiusz wraz z przyjaciółmi został uwięziony na wzgórzu kapitolńskim przez żądny zemsty tłum... Gratuluję wam, jeśli dotarliście aż tutaj, przezierając się przez cały ten przegląd republikańskiej polityki, za który bardzo przepraszam, ale warto było, bo teraz zaczyna się najciekawsze. I tym razem wyjątkowo wszystkie źródła są niezwykle zgodne w kwestii tego, co się stało.

Senat odbywał właśnie posiedzenie w świątyni Fides, prowadząc debatę, która miała na zawsze odmienić politykę rzymską. Dyskutowano o tym, czy należy zabić Tyberiusza Grakchusa. W istocie wielu członków senatu, najwyższego i najdostojniejszego ciała rzymskiej władzy, próbowało namówić konsula Publiusza Mucjusza Scewolę, by wykorzystał przysługujące mu *imperium* (najwyższą władzę) do oficjalnego zabicia Tyberiusza bez żadnego procesu za próbę pozbawienia ich zrabowanej ziemi. Mucjusz Scewola odmówił. Zabicie rzymskiego obywatela, a tym bardziej trybuna, bez żadnego procesu było czynem niegodnym, niezależnie od tego, jak wiele problemów ten człowiek spowodował. Senatorowie dyskutowali, a tymczasem Tyberiusz próbował wymyślić plan działania. Musiał nastąpić jakiś przełom, jedna ze stron musiała albo pójść do przodu, albo się wycofać. Appian, z pochodzenia Grek,

zawsze z zakłopotaniem patrzył na rzymskie zwyczaje. Píše, że dziwi go, iż nikt nie wykorzystał okazji, by ogłosić stan zagrożenia państwowego i powołać dyktatora, ale najpewniej wszyscy byli tak rozgorączkowani, że po prostu zapomnieli, iż możliwe jest legalne zawieszenie demokracji* i powołanie dyktatora. To byłby lepszy plan, ale oceniając sprawy z perspektywy przyszłości, zawsze łatwo jest wymyślić doskonały plan. Ostatecznie człowiekiem, który nie wytrzymał, miał okazać się – co zaskakujące – pontifex maximus, przełożony kolegium kapłańskiego, najwyższy kapłan państwowej religii. Oczywiście kapłaństwo nie było w Rzymie powołaniem czysto duchowym, ale jest to trochę tak, jakby arcybiskup Canterbury wpadł publicznie w szal. Najwyższy kapłan Scypion Nazyka stracił cierpliwość, wstał i krzyknął na całą świątynię: „Skoro konsul jest zdrajcą i chce, by imperium i jego prawa upadły, to ja sam to naprawię”. (Parafrazuję trochę, ale w końcu tak samo robili wszyscy rzymscy historycy, których nie było na miejscu wydarzeń). Zarzucił wówczas togę na ramię i wrzasnął: „Kto chce ratować kraj, za mną!”. Senatorowie zakrzyknęli wściekle, a ponieważ nie wolno im było przynosić mieczy na posiedzenia, zaczęli rozwalać drewniane ławki, uzbrajając się w ten sposób w deski. Wszystko poszło nie tak.

Jeden z senatorów pobiegł na Kapitol, by ostrzec Tyberiusza, że senat jest uzbrojony i niebezpieczny. Ludzie otoczyli Grakchusa, by osłonić go i zabrać z teatru zbrodni, bo

* W okresie republiki w Rzymie nie było *de facto* ustroju demokratycznego. Ustrój Rzymu zawierał elementy demokratyczne, oligarchiczne i monarchiczne (przyp. red.).

tłum rozwścieczonych senatorów zaczął się zbliżać. Droga ze świątyni Fides na szczyt wzgórza kapitolńskiego była krótka i nie istniało wiele możliwości wydostania się stamtąd. Gdy stronnicy senatu i bogaczy parli naprzód, zwolennicy Tyberiusza próbowali ich zatrzymać, a wówczas senatorowie zaczęli wywijać swymi prowizorycznymi maczugami. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Kiedy sami senatorowie rozpoczęli wymierzanie ciosów, wydarzenie przestało być zwykłymi rozruchami. Gdy drewniane sztachety zaczęły łamać kości i popłynęła krew, zostały okaleczone nie tylko ciała rzymskich obywateli, ale również sama rzymska republika. Kiedy Nazyka zamachiwał się nogą od krzesła na ludzi próbujących bronić Tyberiusza, godził w fasadę demokracji i republikanizmu, pozwalając ludziom wierzyć, że mają prawo głosu i wpływ na władzę sprawowaną przez ich przedstawicieli. Ludzie zaczęli upadać na ziemię, jedni martwi, drudzy ranni. Zaczęto trawać leżących. Wokół świątyni było słycać krzyki. Tyberiusz uciekał na wschodnią stronę Kapitolu, gdy ktoś chwycił go za tokę. Długa ciężka wełniana tkanina owinięta wokół ciała może być prawdziwą przeszkodą, gdy człowiek usiłuje ocalić życie. Tyberiusz pozwolił upaść todze, ale się przy tym potknął. W tej chwili ktoś wykorzystał sposobność. Plutarch twierdzi, że człowiekiem, który zadał pierwszy cios, był inny z trybunów, Publiusz Saturejusz, drugi cios zaś wymierzył Lucjusz Rufus. Appian pisze, że Tyberiusz upadł u stóp posągów królów – Waleriusz Maksymus stwierdza po prostu, że dostał to, na co zasłużył. Ciosy desek spadły na jego głowę i Tyberiusz zmarł. Wraz z setkami innych został zatłuczony na śmierć przez tłum najbogatszych ludzi na Zachodzie. Nie miał

nawet trzydziestu lat. Morderstwo wykorzystano jako sposób rozwiązywania sporów politycznych w Rzymie i tego kroku nigdy nie dało się już cofnąć.

Łatwo sobie wyobrazić, że Rzymian następnego dnia dotknął kac moralny – że wypełniły ich wstyd i odraza wobec tego, co zrobili. W rzeczywistości jednak senat jedynie podbił stawkę. Ciało Tyberiusza i jego stronników zbezczeszczono i wyrzucono do rzeki. Senat wygnał z miasta kilku jego ocalałych przyjaciół, a paru innych kazał zabić. Plutarch twierdzi, że jednego z nich, Gajusza Williusza, ukarano jak za ojcostwo – zaszywając go w worku z rozwścieczonymi węzami. Źli ludzie wygrali i nie zamierzali się wycofywać. A byli to ludzie naprawdę źli. Mimo wszelkich pokrętnych wysiłków późniejszych rzymskich historyków, by przedstawić Tyberiusza jako zdrajcę republiki, dość jasno widać, że był on najwyżej zdrajcą pewnej warstwy społecznej. Próbował podkopać rządy bogatych i narzucić jakąś ograniczoną formę równości, za co go możni znienawidzili. Znienawidzili tak bardzo, że aż postanowili go zabić. Połamali krzesła i rozbili mu głowę na miazgę, aby go powstrzymać, a potem wrzucili jego ciało do rzeki. To naprawdę okropny moment w historii Rzymu. Nikt się jednak wówczas nie skarżył, bo wszyscy wiedzieli, jakie byłyby konsekwencje takiego skarżenia się. Wszyscy się przekonali, że między senatem a ludem rzymskim nie ma żadnej równowagi sił. Demokracja była oszustwem. Istniał tylko senat – skłonny zabijać wszystkich, którzy staną mu na drodze. I za takie zabójstwo nie miał ponosić żadnych konsekwencji.



Od tamtej chwili sięganie po przemoc już zawsze miało pozostać opcją w rzymskiej polityce. Potrzeba było jeszcze pokolenia, aby morderstwo stało się typową strategią rozwiązywania problemów politycznych, ale wtedy, gdy krew Tyberiusza spłynęła na pomnik Romulusa, mleko naprawdę się rozlało. Czymś akceptowalnym stało się zabicie kogokolwiek uznanego za „przeciwnika republiki”, nawet jeśli takie miano nie miało podstawy prawnej czy zwyczajowo przyjętej. Najpierw nikt nie mógł uwierzyć, że ten moment okaże się aż tak przełomowy. Nikt nigdy nie zdaje sobie sprawy, że żyje w przełomowej historycznie chwili. Ludzie wówczas myśleli, że stało się coś złego, ale jednorazowego. Że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Dopóki się nie powtórzyło.

Młodszy brat Tyberiusza, Gajusz, miał wówczas ledwie dziewięć lat, ale w przeciwieństwie do brata był wciąż pośród żywych. Gdy tylko rozpoczął karierę polityczną, zarówno lud, jak i senat zaczęli mu się uważnie przyglądać. Lud naciskał go, poprzez otwarte apele, okrzyki na ulicach i graffiti, by podjął misję swego brata. Senat zaś patrzył na niego tak, jak policja patrzy na porzuconą walizkę na lotnisku: był gotowy wkroczyć i przeprowadzić kontrolowaną detonację przy pierwszej oznace jakiegokolwiek popularności. Po tym, jak umęczono go licznymi irytującymi pozwami, które miały go rozwścieczyć i wyczerpać – sądzenie się było ulubioną rozrywką Rzymian – Gajusz wreszcie pękł i w roku 123 p.n.e. ogłosił, że będzie ubiegał się o stanowisko trybuna. Oczywiście odniósł sukces, ku wściekłości senatorów, którzy – co do jednego – stanowili jego przeciwników. Gajusz był w równej mierze skłonny do konfrontacji i awantury, co jego brat do porozumienia

i kompromisu. Natychmiast zaczął więc wysuwać propozycje polityczne, mające na celu zirytowanie złych ludzi. Chciał znów wrócić do tematu redystrybucji ziemi. Chciał wprowadzić nowe prawa dotyczące urzędników. Chciał, aby mieszkańcy Italii, zwani Latynami, zyskali obywatelstwo rzymskie. Chciał, by więcej pieniędzy przeznaczono na prace publiczne i na walkę z ubóstwem. Wedle Plutarcha chciał wytyczenia długich prostych i estetycznie atrakcyjnych dróg z kamieniami milowymi, aby ludziom łatwo było wsiadać na konie i z nich zsiadać. Niczego tak nie kochał jak długiej prostej rzymskiej drogi. Chciał zrobić wiele rzeczy, a lud go za to kochał, podczas gdy senat zamierzał uniemożliwić mu wszystkie te projekty. Wykonano wiele ruchów politycznych, aby go powstrzymać – wszystko to mało ekscytujące – ale po dwóch latach parlamentarnych sporów w roku 121 p.n.e. ostatecznie znów nastąpił wybuch przemocy.

Tym razem Gajusz nie był bez winy, co dowodzi jego konfliktowej natury. Po tym jak jego stronnicy zadźgali chamskiego liktora swymi stylusami (sic!), a Gajusz powiedział tylko, że brzydko to wyglądało, stało się jasne, że przemoc stanowi już zwyczajną część rzymskiej polityki. Gajusz postanowił stanąć na czele zbrojnego powstania przeciw senatowi, chociaż nie był już trybunem ani nie miał żadnego usprawiedliwienia dla tego działania. Próbował okupować Awentyn. Źle to wszystko poszło. Fulwiusz, stronnik Gajusza i podówczas konsul, został brutalnie zamordowany w łaźni, Gajusz musiał uciekać z miasta i poprosić swego zaufanego niewolnika Filokratesa, by go zabił. Gdy członkowie senatu znaleźli ciało Gajusza, kazali odciąć mu głowę, a człowiek imieniem Septymulejusz

(spróbujcie powiedzieć to szybko trzy razy z rzędu) zatknął ją na włócznię i zaniósł do Rzymu. W nagrodę otrzymał tyle złota, ile ważyła głowa. Trzeba przyznać senatowi, że Gajusz się w sumie o to prosił, próbując igrać z senatem z pomocą skrzykniętej gromady swoich zbrojnych stronników, no ale był to kolejny zabójczy cios dla republiki i kolejna krwawa łaźnia, która położyła kres idei demokratycznych reform imperium rzymskiego właściwie na zawsze. Trudno nazwać Gajusza dobrym facetem (choć umiał zalotnie uchylać swej togi), ale jego śmierć, śmierć konsula i groteskowe obnoszenie głowy Gajusza (która ważyła około ośmiu kilogramów) pokazały, że źli ludzie naprawdę wygrywają i nie zamierzają przestać. A także że morderstwo staje się czymś najzupełniej zwyczajnym.

Publiusz Klodiusz Pulcher

Najlepszym przykładem tego, jak zwyczajną rzeczą stało się morderstwo polityczne w epoce późnej republiki, jest dość żalotne uliczne zabójstwo Publiusza Klodiusza Pulchera dokonane przez jego rywala politycznego Tytusa Anniusza Milona.

Publiusz Klodiusz Pulcher jest pewnie moim ulubionym Rzymianinem wszech czasów. Była to prawdziwie wielka osobowość. Gdybym miała żyć w jego czasach, z pewnością nienawidziłabym go i jego rodziny, ale dystans dwóch tysięcy lat pozwala mi spojrzeć na niego z niejakim podziwem. Był zarazem teatralnym, zadzierającym nosa arystokratą, kręcącym togą, pantomimowym złoczyńcą, bohaterem ludu i maszyną do tworzenia anegdot. Gdziekolwiek się zjawiał, zaraz za nim pojawiały się wspańałe historie. A cała reszta jego rodziny (w której liczni nazywali się Publiusz Klaudiusz Pulcher) była taka sama. Jego praprapradziadek, pierwszy Publiusz Klaudiusz,

który zyskał przydomek Pulcher (co znaczy „przystojny”), jest bohaterem jednej z pięciu moich ulubionych rzymskich anegdot. Pochodzi ona z czasów pierwszej wojny punickiej przeciw Kartaginie z 249 roku p.n.e. Jako dowódca świeżo zbudowanej floty rzymskiej, stworzonej tylko po to, by wkurzyć Kartaginę, nasz bohater Publiusz był przystojnym konsulem, któremu powierzono zadanie wygrania wojny. W tym celu popłynął całą flotą do Drepany na Sycylii, by wziąć udział w epickim starciu dwóch śródziemnomorskich potęg. O wschodzie słońca Publiusz szykował się do walki. Dla Rzymian częścią takich przygotowań było również odczytywanie znaków, tym razem ze świętych kurcząt. Były one bardzo ważnym elementem rzymskich praktyk religijnych, sposobem, by poznać pragnienia bogów, na podstawie tego, co i jak jadły święte kurczaki. Publiusz zapytał je więc: „Mamy iść na tę bitwę? Wygramy?”. Potem czekał, aż kurczaki zjedzą swą karmę w odpowiedniej kolejności i dadzą mu zielone światło. Niestety dla niego kurczaki płynęły wówczas na okręcie i nie miały nastroju do jedzenia. A może to bogowie wysyłali wiadomość. Tak czy inaczej kurczaki nie chciały jeść – niezależnie od tego, jak bardzo konsul chciał, aby jadły, niezależnie od tego, jak bardzo chciał zaatakować czekającą flotę kartagińską. Wówczas Publiusz w przyływie świętokradczej wściekłości wrzucił kurczaki do morza, krzycząc: „Jeśli nie chcą jeść, to niech piją”, po czym ruszył wprost ku katastrofalnej klęsce, tracąc 93 ze swoich 123 okrętów. Gdy wreszcie powlókł się do domu, okryty hańbą, został oskarżony o „działalność wbrew interesom państwa”. Morał na dziś: nie zadzieraj ze świętymi kurczakami.

Z takiej rodziny wywodził się nasz Klodiusz. Z rodziny starożytnej i wspinałej, szczytującej się znakomitą historią. Był najmłodszym z szóstki dzieci, miał więc syndrom najmłodszego dziecka i naprawdę robił wszystko, by zwrócić na siebie uwagę. Manifestowało się to głównie wpadaniem w niezliczone kłopoty i wkurzaniem Cyncerona. Naprawdę, ale to naprawdę uwielbiał denerwować Cyncerona, jak tylko potrafił – z czym ja mocno sympatyzuję. Cynceron był człowiekiem pompatycznym, z ego łatwym do urażenia – a to pokusa, której trudno się oprzeć. Cynceron bardzo też przejmował się świętością rzymskiej władzy, podczas gdy Klodiusz nie przejmował się niczym⁵. Swego czasu Klodiusz bardzo przejmował się Cyncerem i pozostawał jego entuzjastycznym stronnikiem w bezprawnym zamordowaniu Lucjusza Sergiusza Katyliny. Ten ostatni był prawdziwym łobuzem w czasach pełnych prawdziwych łobuzów. W latach sześćdziesiątych p.n.e. rzymski system sprawowania władzy praktycznie się załamał. Pompejusz, Cezar i Krassus prowadzili otwartą wojnę, podczas gdy wszystkie aspekty władzy były skażone łapówkarstwem, przemocą i niepewnością. Katylina zaś był łotrzykiem małego kalibru, który pragnął zyskać sławę, brutalnie obalając konsulata i dopuszczając się całego szeregu morderstw w imieniu pozbawionego praw ludu rzymskiego. Niestety dla niego konsulem był wówczas Cynceron, Cynceron zaś to zupełnie ktoś inny niż Mucjusz Scewola. Gdy tylko dowiedział się o spisku Katyliny, kazał go stracić bez procesu. Wielu ludzi było dość przerażonych tym, że teraz konsulowie wedle własnej zachcianki mordują patrycjusza na podstawie pogłosek, nie pozwalając im na

ani słowo obrony. Klodiusz był jednak oddanym stronnikiem Cyncerona. Myślę, że po prostu podobał mu się ten cały chaos.

Ich relacja pogorszyła się po skandalu typowym dla Klodiusza. W grudniu roku 62 p.n.e., w roku śmierci Katyliny, Klodiusz zainteresował się ceremonią religijną tylko dla kobiet w czasie święta Bony Dei. Była to italska bogini, której święto obchodzono w nocy, potajemnie, w domu najwyższego kapłana (pontifexa maximusa). Ceremonie prowadziła jego żona, a towarzyszyły jej westalki. Wiadomo było, że mężczyźni nie dopuszczają się do obchodów, Klodiusz więc oczywiście bardzo się chciał tam dostać. Miał trzydzieści lat i był idiotą, uznał więc, że wygląda wystarczająco młodo i kobieco, by przebrać się za dziewczynę – prawdopodobnie wkładając kobiece szaty i malując się – po czym wdarł się do środka przez okno domu najwyższego kapłana. Funkcję tę pełnił wówczas Juliusz Cezar, dom był więc dość duży i Klodiusz szybko się w nim zgubił. Według Plutarcha odkryła go służąca, która natychmiast przejrzała jego marne przebranie i zaczęła krzyżeć. Mimo błyskotliwej zagrywki polegającej na próbie skrycia się w sąsiednim pokoju został odnaleziony i oskarżony o świętokradztwo. W akcie niezwyklej brawury Klodiusz poszedł przed sądem na całości i oznajmił, że to nie on był wówczas w domu Cezara, bo tego dnia w ogóle nie przebywał w Rzymie. Twierdził, że był wówczas wiele kilometrów stamtąd. W tym momencie wystąpił Cynceron i zeznał, że Klodiusz tamtego dnia z pewnością przebywał w Rzymie, bo był wówczas w domu samego Cyncerona. Klodiusz zyskał jednak wtedy wielką popularność, a wokół niego pojawiła się grupka stronników skłonnych spuścić łomot każdemu, kto krzywo na niego spojrzy. Był też nieprzyzwoicie

bogaty, dzięki czemu mógł z pomocą klasycznej mieszanki przekupstwa i zastraszania załatwić sobie uniewinnienie. Był to koniec historii pod tytułem „Cyceron i Klodiusz: najlepsi kumple na zawsze”.

Klodiusz, formalnie zwany Publiuszem Klaudiuszem Pulcherem, został w roku 59 p.n.e. adoptowany przez rodzinę plebejską, co oznaczało, że nie jest już członkiem patrycjuszowskiego rodu Klaudiuszów. Zmienił wówczas imię na Klodiusz i stanął do wyborów na trybuna ludowego. Wykonał ruch bezprecedensowy i cholernie bezczelny. Był to jednak czas pierwszego triumwiratu, kiedy to Krassus, Pompejusz i Cezar jawnie rządzą Rzymem na zupełnie nielegalnej podstawie, wszystkie zasady były więc nieco rozluźnione. Zwykle zbywa się ten wątek w porównaniu z frywolny skandalem w święto Bony Dei i z całą późniejszą nożowniczą karierą Klodiusza, ja jednak sądzę, że był to prawdziwy punkt zwrotny w starciu między popularami a optymatami. Do tego momentu główną motywację do zdobywania prestiżu i władzy, wygrywania wyborów i odnoszenia zwycięstw stanowiło przynoszenie chwały rodowemu nazwisku. Każdy Rzymianin z wyższych sfer pragnął dorównać wielkości swoich przodków albo też osiągnąć wielkość, do której aspirowałiby później jego potomkowie. Osobista chwała miała przydawać blasku rodzinie. Klodiusz porzucił jednak swą rodzinę i dobrowolnie wyrzekł się nazwiska rodowego, aby móc objąć urząd, do którego nie miał prawa, aby zyskać poparcie ludu rzymskiego i aby zwiększyć swój własny prestiż. Pozbawił swoje dzieci patrycjuszowskiego nazwiska Klaudiuszów, by we własnych chciwych łapskach móc ścisnąć nieco więcej władzy.

Jako trybun Klodiusz nadal irytował senat, wprowadzając stały przydział zboża dla wszystkich mieszkańców Rzymu. Specjalnie, żeby zadrzeć z Cyncerem, uchwalił prawo do ściągania konsulów, którzy dokonali egzekucji obywateli bez procesu. I doprowadził do wygnania Cyncera. A potem spalił jego dom. Później zaś, w roku 58 p.n.e., zebrał uzbrojony gang ludzi wolnych i niewolnych do ochrony własnych interesów. W tym momencie obrót spraw naprawdę wystrześlił w kosmos, bo gdy Klodiusz stworzył sobie organizację paramilitarną, zdolną do mordowania wszelkich przeciwników, każdy w Rzymie zapragnął mieć taką organizację. W roku 58 p.n.e. zorganizowany gang zbrojny stał się wyposażeniem obowiązkowym. Szczególnie silny gang z niewolników i gladiatorów stworzył sobie Tytus Anniusz Milon i wkrótce wszystkie dyskusje polityczne zamieniły się w bójki. Każde wybory były teraz polem bitwy. Rzym ogarnął chaos. Na długie lata. W roku 52 p.n.e. posiadanie gangu stało się już tak samo zwyczajną częścią życia politycznego jak łapówkarstwo czy oskarżanie innych o posiadanie gangów. Jak mówi Kasjusz Dion, morderstwo stało się rzeczą codzienną – i ma tu na myśli jawne morderstwa dokonywane na ulicach. Nie dało się już przeprowadzić wyborów, które nie przerodziłyby się w krwawą łaźnię, nikt więc wyborów nie przeprowadzał. Człowiekowi, który miał to szczęście, że nigdy nie żył w czasach takiego chaosu, trudno sobie wyobrazić, że coś tak nudnego, przewidywalnego i stabilnego jak polityka może stać się permanentną wojną uliczną, życie ludzkie staje się zagrożone w czasie wyborów, a przemoc jest czymś zupełnie normlanym. Gdy Marek Antoniusz ścigał Klodiusza wokół Forum z mieczem

w rękę i pianą na ustach, zmuszając go do zabarykadowania się w księgarni, nie stało się to tak wielką sensacją, jak powinno – w końcu były konsul ściągał po ulicy z mieczem trybuna ludowego – ale zaledwie drobną anegdotką⁶. Trzeba zatrzymać się na chwilę i pomyśleć o tłumach, które podburzył Klodiusz, bo rzymskie źródła zawsze chętnie dehumanizują tych ludzi, zazwyczaj wywodzących się z miejskiej warstwy średniej i z „klasy robotniczej”. Wszystkie rzymskie źródła zostały jednak spisane przez klasy wyższe, więc chętnie przedstawiają one ten miejski „plebs” jako brudne masy odrażających podludzi, podczas gdy tak naprawdę byli to zwyczajni ludzie, jak ty czy ja. Sprzedawcy, budowlańcy, piekarze, garbarze i tym podobni. To tacy ludzie byli tłuczeni, jeśli zagłosowali niewłaściwie w wyborach, to ich domy i warsztaty były rujnowane, gdy tylko między dwoma gangami wybuchły walki uliczne – to oni byli coraz bardziej odsuwani od rządzenia imperium. Klodiusz zaś, choć dziwak, był jedyną osobą, która miała tym ludziom cokolwiek do zaoferowania. Przydział zboża przedstawiany jest w źródłach rzymskich jako cyniczna zagrywka – i pewnie tak było – ale dla ludu rzymskiego oznaczał, że nikt nigdy nie musiał chodzić głodny. Klodiusz zagwarantował każdemu Rzymianinowi codzienne wyżywienie i ludzie go za to pokochali na wieki. Gdy więc został zamordowany, pojawił się problem.

18 stycznia 52 roku p.n.e. Klodiusz podróżował w otoczeniu swoich gladiatorów i niewolników – trzydziestu uzbrojonych ludzi, wedle Askoniusza – kiedy w Bovillae spotkał swego arcywroga Milona. Po tym jak ten ostatni bardzo entuzjastycznie przyjął strategię posiadania zbrojnych gangów, stał się

ważną siłą w polityce lat pięćdziesiątych I wieku p.n.e., a dla Klodiusza poważnym problemem. Obaj spędzili długie lata na walkach gangów, próbując w ten sposób rozstrzygnąć, czy należy pozwolić Cycleronowi na powrót do Rzymu, następnie zaś obaj usiłowali podać do sądu tego drugiego za organizowanie walk gangów. Połączyła ich dozgonna antypatia. Kiedy więc Klodiusz ze swą żoną wpadł na Milona na via Appia w roku 52 p.n.e., brutalne starcie było nie do uniknięcia. Tyle tylko że tym razem jeden z gladiatorów Milona wyraźnie przesadził.

Klodiusz i Milon, będąc senatorami, nie angażowali się osobiście w akty przemocy. Wynajmowali i kupowali do tego ludzi. Byli generałami, nie żołnierzami, nie spodziewali się więc, że oni sami mogą kiedyś odnieść rany w ulicznym starciu. Kiedy więc tamtego dnia jeden z ludzi Milona zatopił nóż w plecach Klodiusza, była to niespodzianka dla wszystkich. Relacje dotyczące tego, co dokładnie się stało, różnią się od siebie. Cycleron, przemawiając w obronie Milona w czasie jego procesu, umniejsza całe morderstwo i przedstawia sprawę tak, jakby to Klodiusz złośliwie rzucił się na sztylet niewolnika Milona, korzystając z tego, że Milon patrzy akurat w drugą stronę. Appian twierdzi, że Milon mógł wydać rozkaz do ataku i że bez wątpienia kazał się upewnić, że Klodiusz nie żyje. Dion mówi, że pierwsze zranienie Klodiusza było przypadkowe, podczas gdy ostatni cios, przypieczętowujący jego śmierć, był już celowy, bo Milon miał sądzić, że łatwiej będzie mu uniknąć odpowiedzialności za morderstwo niż za napaść. Marek Antoniusz, wedle Cyclerona, rozpowiadał wokół, że to właśnie Cycleron miał prosić Milona o zabicie Klodiusza. Ta wersja bardzo mi się podoba⁷. Cycleron pisywał czasem listy

datowane „ileś tam dni od bitwy pod Bovillae”, co sugeruje, że data śmierci Klodiusza była bliska jego sercu.

Askoniusz, autor komentarzy do mów Cycerona, napisanych w okresie rządów Nerona jako całkiem beznadziejny, choć i nieco uroczy, prezent dla jego synów (och, tato, dzięki, że napisałeś dla nas podręcznik, naprawdę dzięki), przedstawia sprawę najbardziej szczegółowo. Milona opisuje jako pozbawionego sumienia mordercę. W jego relacji Klodiusza zaatakował gladiator Birra w odpowiedzi na złowieszcze spojrzenie. Świta Klodiusza miała następnie zaciągnąć rannego do pobliskiej winiarni. Leżał tam, krwawiąc, żywy, podczas gdy na zewnątrz trwała bójka (choć Rzymianie upierali się, by nazywać to wydarzenie bitwą) pomiędzy sześćdziesięcioma niewolnikami. Gdy Milon usłyszał, że Klodiusz został ranny, wysłał swoich ludzi, by go znaleźli i dobili. Wedle słów Askoniusza, ludzie Milona wyciągnęli ranne ciało Klodiusza z winiarni i wyrzucili je na ulicę, a następnie dźgali go raz za razem, aż wyzionął ducha. Następnie wymordowali wszystkich jego niewolników i zostawili ciała trybuna i jego ludzi w stertach wzdłuż via Appia. Inny senator, Sekstus Tediusz, jadąc tego samego dnia tą drogą, zauważył zwłoki i przewiózł ciało Klodiusza z powrotem do Rzymu⁸.

Jakkolwiek było, Klodiusz zakończył życie na poboczu via Appia z nożem w plecach, a lud Rzymu był oburzony. Sprawy poszły o krok za daleko. Ludzie Klodiusza zanieśli jego ciało na Forum i położyli je na rostrze. Nagle Klodiusz stał się męczennikiem republiki. Może i był kazirodczym, świętokradczym, brutalnym i obrzydliwym patrycjuszem, który uzurpował sobie władzę trybuna ludowego, ale był i ch

kazirodczym, świętokradczym, brutalnym i obrzydliwym patrycjuszem, który uzurpował sobie władzę trybuna ludowego, a lud ani trochę nie zgadzał się, by senatorowie go zabili. To wyświechtany slogan, że o zmarłych należy mówić tylko dobrze, ale Klodiusz naprawdę go ucieleśnia. Nagle wszystkie jego odrażające zachowania zostały zapomniane. Nagle stał się uwielbianym trybunem, który dał ludziom przydział zboża, za co został ukarany przez senat. Był ich bohaterem i opłakiwali go, a także wzniesli mu stos na samym Forum. Wzniesli stos z drewna wyrwanego z ławek w senacie, a następnie w wybranej chwili podpalili zarówno stos, jak i sam budynek senatu, organizując stypę w cieniu płomieni. Budynek stał przez pięć stuleci, wznosił go król Tullus Hostyliusz, a teraz wraz z ciałem kolejnego zamordowanego trybuna budynek spłonął. Wraz z nim spłonął kolejny kawałek republiki, a senat w panice oddał Pompejuszowi całość władzy nad imperium.

Pompejusz powołał specjalny trybunał, by osądzić Milona za zabicie Klodiusza, samodzielnie dobrał sędziów, zasiadł w sali sądowej i kazał otoczyć ją zbrojnymi strażami. Cyceron wygłaszał mowę obrończą. Nie mogła się ona w pełni rozwinąć za sprawą obecności licznych stronników Klodiusza obecnych na sali, a także przez władzę Pompejusza, jedynego konsula i jedynego władcę Rzymu, lustrującego całą salę. Osobiste zaangażowanie Pompejusza w przebieg procesu sprawiło, że jego wynik był postanowiony, zanim ktokolwiek zdążył zjawić się i przemówić przed sądem – i wszyscy o tym wiedzieli. Milon był stracony. A to stanowiło spory problem dla Cicerona. Ale on jako człowiek, który nigdy łatwo nie odpuszczał, dał z siebie wszystko. Wygłosił przemówienie, które było jednak

zaledwie epigramem w porównaniu na przykład z jego wygłoszaną przez cały dzień, liczącą trzydzieści sześć tysięcy słów mową w obronie Kluencjusza. Co ciekawe, nie próbował przekonać sądu, że Milon jest niewinny. Próbował tylko argumentować, że nie powinno się go karać za zabicie Klodiusza. Jego argumentacja opierała się na trzech punktach: po pierwsze, była to samoobrona, po drugie, w mieście praktycznie toczyła się wówczas wojna, więc nie można było stosować normalnych praw (słynna maksyma: *inter arma silent leges*), po trzecie zaś, Klodiusz był złoczyńcą, a gdyby Milon go celowo zamordował (czego nie zrobił), to ocaliłby Rzym przed kolejnym populistycznym wicherzycielem, który groził stabilności władzy senatu.

Na czas procesu zamknięto całe miasto, a Cynceron był jedynym mówcą obrony. Wedle Plutarcha i Diona uzbrojone stráže strzegące sądu oraz czujne oko Pompejusza przeraziły Cyncerona, a jeszcze bardziej przeraziły go okrzyki przyjaciół i rodziny Klodiusza. Wedle Diona Cynceron ledwie mógł mówić, a gdy już przemówił, głos mu drżał ze strachu. Tym źródłom nie można bezkrytycznie wierzyć, gdyż spisano je setki lat po omawianych wydarzeniach, panuje jednak powszechna zgoda, że był to jeden z najtrudniejszych dni w życiu Cyncerona. Milona uznano za winnego i wygnano z Rzymu. Przeniósł się do Massilii, dzisiejszej Marsylii, co nie jest najsurowszą karą za morderstwo.

Milona uznano za winnego morderstwa w kwietniu roku 52 p.n.e. W tym samym roku Cezar zaczął swą wojnę przeciw Wercyngetoryksowi w Galii. Rok wcześniej Rzymianie próbowali najechać Partię, co skończyło się krwawą katastrofą.

Armie maszerowały przez imperium, a triumwirat Cezara, Pompejusza i Krassusa upadł, gdy Krassus został zabity w Partii. Bez trzeciej osoby, która by ich równoważyła, napięcie między Cezarem a Pompejuszem stało się niemożliwe do kontrolowania. Niemal trzy lata po zamordowaniu Klodiusza, 10 stycznia 49 roku p.n.e., Cezar przekroczył Rubikon i skierował swą armię na Rzym. Na tle wielkich wydarzeń historycznych śmierć Klodiusza jest niczym przypis na dole strony. Nie ma takiej siły symbolicznej jak przekroczenie Rubikonu czy stworzenie pierwszego triumwiratu, sam Klodiusz zaś nawet wedle współczesnych mu biografów w historii Rzymu zapisał się jedynie jako awanturnik i żądny władzy dandys⁹. Był on jednak kolejnym na długiej liście urzędników, którzy trzymali stronę ludu rzymskiego i byli przez ten lud kochani, którzy próbowali zaspokoić potrzeby ludu i zmniejszyć jego ubóstwo, a zostali za to zamordowani. Stanowi łącznik między Tyberiuszem Grakchusem a Juliuszem Cezarem, innymi ulubieńcami ludu, którzy zginęli gwałtowną śmiercią z rąk rzymskiej elity w ramach „ratowania” republiki i ochrony interesów garstki najbogatszych. Jego zamordowanie, tak jak Tyberiusza Grakchusa i Juliusza Cezara, wywołało taką żalobę, że aż zmieniło bieg historii. Za życia Klodiusz był odrażającym nicponiem, myślał tylko o sobie i nie zawahałby się sięgnąć po twoją własność. Za to po śmierci stał się kolejnym ludowym męczennikiem za sprawę rzymskiej demokracji.

Juliusz Cezar

Taki jest więc kontekst morderstwa Juliusza Cezara: ponad stulecie sądowego i pozasądowego mordowania senatorów przez innych senatorów, dziesięciolecia, w których trakcie senatorowie uznawali się za przedstawicieli rzymskiego państwa i nie wahali się własnoręcznie zabijać, by utrzymać status quo. Oligarchowie jak dotąd wygrali wszystkie starcia z każdym, kto chciał zmniejszyć ich bogactwo i władzę – oni też pisali historię tych starć. Senatorowie ogłaszali się więc zbawcami republiki i bohaterami Rzymu. Znakomitymi, wybitnymi obywatelami, gotowymi zabić w obronie ojczyzny. W tym okresie w kilku źródłach pojawiła się legenda dotycząca losów wielkiego i ubóstwionego Romulusa. Tradycyjna opowieść o jego śmierci głosi, że został on nagle ku zaskoczeniu wszystkich wezwany do nieba i zniknął w chmurze burzowej, gdy ze swymi wojskami paradował wokół rzymskich murów. Jest też jednak i druga wersja, którą możemy odnaleźć w *Dziejach*

Rzymu Liwiusza oraz w *Historii rzymskiej* Appiana. W niej Romulus miał pod koniec swoich rządów zachowywać się jak tyran, a chmura, która go otoczyła w chwili śmierci, nie była chmurą boską, ale tumanem kurzu wzniesionym przez senatorów, którzy rzucili się na niego ze sztyletami. Historia o wniebowzięciu stała się o wiele popularniejsza – choć oczywiście nigdy się nie wydarzyła – ale przetrwanie wersji o tyranii aż do czasów imperialnych sugeruje, że w rzymskiej kulturze istniał też nurt usprawiedliwiania w imię Rzymu zabójstwa nawet samego boskiego Romulusa, syna Marsa.



Mamy tak wiele informacji na temat Juliusza Cezara – w tym również jego pisma o własnych czynach, sformułowane z zastosowaniem niezwykle irytującej narracji trzecioosobowej – że niemal nie potrafimy ich ogarnąć. Istnieje jednak zaledwie pięć źródeł dotyczących jego śmierci, a żadne z nich nie jest Cezarowi współczesne. Bardzo wiele informacji na temat kariery Cezara i jego władzy dyktatorskiej pochodzi z mów i listów Cyncerona, których ten ostatni napisał bardzo dużo. Weźcie do ręki dowolną historię z okresu późnej republiki albo biografię Marka Antoniusza czy Cezara, a zobaczycie, jak wiele z nich opiera się niemal wyłącznie na relacjach tego mówcy. Jego dzieło stanowi spełnienie najdzikszych fantazji każdego historyka, a raczej stanowiłoby, gdyby Cynceron nie był tak bardzo niewiarygodny. O śmierci Cezara nie napisał jednak ani słowa. Pisał o tym, co było wcześniej, a także o tym, co później zrobił Marek Antoniusz, ale ani słowem

nie wspomniał, co zdarzyło się w idy marcowe roku 44 p.n.e. A to dość intrygujące, prawda? Tak czy inaczej mamy do dyspozycji pięć źródeł z okresu cesarskiego: fragment biografii Oktawiana Augusta autorstwa urodzonego w Syrii filozofa Mikołaja z Damaszku, napisanej dwadzieścia do trzydziestu lat po śmierci Cezara; biografię Juliusza Cezara napisaną przez wywodzącego się ze stanu ekwickiego Swetoniusza, pracującego na dworze cesarza Hadriana około roku 120, jakieś sto pięćdziesiąt lat po morderstwie; kolejną biografię Juliusza Cezara pióra greckiego filozofa i moralisty Plutarcha, napisaną mniej więcej w tym samym czasie; historię wojen domowych pod koniec republiki autorstwa Appiana, historyka z egipskiej Aleksandrii, stworzoną mniej więcej sto osiemdziesiąt lat po opisywanych wydarzeniach; i wreszcie historię Rzymu od początku dziejów napisaną przez grekojęzycznego rzymskiego senatora Kasjusza Diona, powstałą około roku 230, niemal trzy wieki po śmierci Cezara. Chociaż mamy zwyczaj nazywać „starożytnym Rzymem” wszystko między rokiem 753 p.n.e. a 476 n.e. (kiedy upadł ostatni cesarz na Zachodzie), musimy się niekiedy skonfrontować z faktem, że przez te dwanaście stuleci sprawy przechodziły znaczne przeobrażenia – i to jest właśnie jeden z takich momentów przełomowych. Z wyjątkiem Mikołaja wszyscy ci autorzy przyszli na świat w chwili, gdy władza cesarska stała się już normą, gdy Juliusz Cezar był już dosłownie bogiem, któremu składano w ofierze małe (i duże) zwierzęta, miał swoich kapłanów, a imię Cezar stało się pospolitym rzeczownikiem oznaczającym imperialną władzę i półboski autorytet. Żyli w świecie, w którym zabicie Cezara było cholernie wielką sprawą, a cesarzy zabijano tylko

po to, by ich zastąpić kolejnymi. Kiedy w roku 68 n.e. wygasła dynastia Juliusza Cezara, wspomnienie o republice było już czymś iluzorycznym, niemal mitycznym. W chwili, gdy o tych czasach pisał na przykład Dion, była to już historia starożytna. Ważne również, by pamiętać, że we wszystkich źródłach greckojęzycznych (z wyjątkiem Diona, który przypomina czytelnikowi, że był rzymskim senatorem, średnio raz na trzy linijki) Rzymianie to „oni”, a nie „my”. W tych relacjach Rzymianie, a w każdym razie Rzymianie z przeszłości, są kimś obcym i pod wieloma względami dziwnym.

Pierwsze z naszych źródeł, tekst Mikołaja z Damaszku, jest pewnie najciekawsze, bo opowieść o morderstwie wpleciono tam w skrajnie pochlebczą biografię Oktawiana Augusta, sprawiającą wrażenie, że stworzono ją tylko po to, by August się ucieszył. Mikołaj zdołał zbudować swą wspaniałą karierę, będąc naprawdę blisko ludzi, którzy wkurzali Augusta. Powołano go na stanowisko nauczyciela dzieci Antoniusza i Kleopatry, co musiało być naprawdę czymś wspaniałym, dopóki nie poróżnili się oni z Oktawianem Augustem*. Mikołaj zdołał jakoś wydostać się z tej nieprzyjemnej sytuacji i związał się z Herodem Wielkim, królem Judei, tym samym biblijnym Herodem, który kazał mordować dzieci. Zabijanie dzieci nie było szczególnym problemem dla Augusta, ale prowadzenie wojny z królem Arabii bez zgody cesarza już tak, więc Herod musiał wysłać Mikołaja do Rzymu, by tam błagał władcę imperium

* Oktawian używał tytułu Augusta dopiero od 27 roku p.n.e. – wtedy uzyskał ten tytuł od senatu po pokonaniu Antoniusza i Kleopatry (przyp. red.).

o wybaczenie. W takim kontekście życiowym Mikołaj pisał swoją książkę o śmierci niedawno ubóstwionego przybranego ojca Augusta. Śmierci – dodajmy – za której sprawą kariera Oktawiana wystrzeliła, gdy uznał on, że to morderstwo musi być pomszczone poprzez wojnę domową. Wyniknęły z tego naprawdę znakomite kłamstwa i nadinterpretacje ze strony Mikołaja, w tym nazwanie Juliusza Cezara, jednego z najskuteczniejszych i najbardziej skorumpowanych polityków w dziejach historii Zachodu, „pozbawionym zręczności w sprawach praktyki politycznej, sprawnym jedynie w zagranicznych kampaniach”, jak również „człowiekiem, którego łatwo było nabrać”, a to już jest naprawdę śmieszne¹⁰.



Kariera Cezara była długa i dość przerażająca. Kierowało nim nieodparte pragnienie władzy, a pomagał mu szereg wybitnych zdolności. Znakomicie radził sobie z ludźmi – był niezwykle charyzmatyczny. Był Billem Clintonem czy Barackiem Obamą swoich czasów. Po spotkaniu z nim większość ludzi go natychmiast uwielbiała, bo potrafił sprawić, że czuli się najważniejsi na świecie. Szczególnie wyjątkowi, kochani i doceniani czuli się przy nim żołnierze. Rzymscy żołnierze rzadko się tak czuli – niczym armia brytyjska za czasów Wellingtona, byli traktowani jak odpady społeczne, które trzeba wytresować, rzucić na pole bitwy, a potem o nich zapomnieć. Cezar był jednak dowódcą wyjątkowym, który poprowadził legiony do wielu triumfów w Galii¹¹ i w Brytanii, a potem pamiętał o swoich żołnierzach. Jego wzlot opierał się na popularności

pośród ludu i jak wszyscy członkowie stronnictwa popularów przed nim on również postulował redystrybucję ziemi w ręce rzymskich żołnierzy i warstw najbiedniejszych. Jako dowódca hojnie nagradzał podwładnych, pozwalając im zachować dobytek, który wydzielali masakrowanym Galom, oraz obiecując jeszcze więcej i więcej chwały i kasy. Obiecywał, że wróć do Rzymu z ciężką kieszą, jak również z możliwością pochwalenia się, iż walczyli pod Cezarem – i to naprawdę działało. W przerażającym stopniu. Cezar był również niezwykle pracowitym biurokratą, obdarzonym spostrzegawczością i zdolnością prowadzenia kilku projektów równocześnie, co okazywało się równie przerażające jak jego zdolności wojskowe, bo sprawiało, że próbował się angażować dosłownie w każdą sprawę.

Jak wszyscy populiści Cezar zawsze karmił się podziakami. Na każdego człowieka, który go uwielbiał, przypadał jeden, który go nienawidził, gardził jego populizmem i nieustannym powtarzaniem, że jest potomkiem samej Wenus. Optymacy nienawidzili go i bali się jego nigdy niezaspokojonej potrzeby chwały oraz wprowadzania zmian, przerażała ich też jego pogarda dla takich spraw jak zwyczaj, własność czy prawo. Cezar był skrajnie skorumpowany. Pierwsze oficjalne stanowisko załatwił sobie przez łapówkę i nigdy już nie zszedł z tej drogi. Pamiętajcie zawsze, że przekroczył Rubikon ze swymi wojskami nie po to, by ratować Rzym, ale dlatego, że nie chciał oddać posady namiestnika Galii, która chroniła go przed procesami w Rzymie za popełnione przestępstwa. Wyobraźcie sobie, że jakiś dzisiejszy światowy przywódca, który nie cieszy się sympatią obywateli, odmawia odejścia z urzędu po upływie kadencji, bo po prostu nie chce tego zrobić, a w dodatku ma

bardzo silną i wierną armię. Gdy senat – zgodnie z prawdą – uznał, że Cezar dopuszcza się niesubordynacji i zdrady, on najechał Rzym i przez kilka lat kopał po tyłku Pompejusza. Było to wszystko dość kontrowersyjne, mówiąc łagodnie.

Gdy już skończył tłuc Pompejusza, ogłosił się dyktatorem i zaczął reformować cały ustrój, zaczynając od rzymskiej miary czasu, a równocześnie pozwalając skamieniałym ze strachu sługusom, by obdarzali go coraz większymi honorami. Przyznane mu zaszczyty są oszałamiające nawet jak na dożywotniego dyktatora. Kasjusz Dion wylicza je wszystkie, ale lista ta jest dość nudna, więc wymienię tylko kilka najwspanialszych. Był konsulem, dożywotnim dyktatorem, cenzorem senatu. Nazywano go imperatorem i ojcem ojczyzny. Wzniesiono mu złote pomniki, które ustawiono pośród posągów starożytnych królów i bogów. Powstały poświęcone mu ołtarze i świątynie. Powołano kolegium kapłanów, którzy mieli spędzać całe życie na dbaniu o jego świątynie i modleniu się za niego. Gdy zreformował kalendarz, zmienił nazwę piątego miesiąca, nadając mu własne imię. Miał złoty tron, na którym mógł siedzieć, kiedy tylko mu się podobało. Pozwolono mu nosić specjalne czerwone buty do kolan, które uważano za typowy ubiór starożytnych królów, mógł też nosić wielką purpurową szatę triumfalną przez cały czas. Przyznano mu specjalnych liktorów, a także prawo do wjechania na koniu w miejsca, gdzie koni nie wpuszczano. Co roku przeprowadzano oficjalne modlitwy o jego bezpieczeństwo i dobrobyt, i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie te zaszczyty spadały na niego kolejno w ciągu dłuższego czasu, ale w roku 44 p.n.e., w roku śmierci, miał już to wszystko i od Króla Słońce Ludwika różniło go tylko imię.

Zdążył już przerosnąć wszystkich innych arystokratów pod każdym względem, widzialnym i niewidzialnym. Optymaci byli tym przerażeni. Cezar doprowadzał wszystko do ruiny.

Przerażenie optymatów – patrzących, jak Cezar jest dosłownie ubóstwiany przez lud i przez senat, jak przyznaje mu się kolejne zaszczyty, jak zagarnia coraz więcej władzy ze zdumiewającą pewnością siebie – wzrosło w roku 44 p.n.e. za sprawą trzech incydentów, o których wspomina wszystkie pięć źródeł.

Pierwszy z nich okazał się pewnie najbardziej irytujący dla optymatów, jako że był najbardziej nieoczekiwany i najsilniej dowodził braku szacunku. Pewnego dnia senat spotkał się z Cezarem. Ten ostatni był wówczas bardzo zajęty, bo właśnie siedział na najwspanialszym ze swoich siedzisk, ustawionym na budowie tego, co miało potem stać się Forum Cezara, i nadzorował jakieś zawłóści budowlane, dając pokaz zarządzania projektowego. Cezar był niestrudzonym mikromenedżerem, obdarzonym nieskończoną cierpliwością do zajmowania się drobiazgami. Nadałby się do serialu *Wielkie projekty*. Appian i Plutarch mówią, że siedział naprzeciw rostry, którą przeniósł do swego Forum, podczas gdy Dion i Swetoniusz uważają, że siedział w atrium świątyni Wenus Genetrix. Gdziekolwiek to było, pracował właśnie ciężko nad swymi planami i papierami. Senatorowie postanowili wykorzystać nieobecność Cezara, by pójść na całość ze swoim lizusostwem, i bez absolutnie jakiegokolwiek powodu – jedynie po to, by Cezar ich polubił – przyznali mu szereg nowych, wyjątkowych przywilejów. Bardzo z siebie zadowoleni chcieli natychmiast zanieść Cezarowi nowinę, że przyznano mu jeszcze fajniejsze krzesło albo że od

teraz ma prawo kopać ludzi w twarz – czy co tam właściwie przegłosowali – licząc, że otrzymają w zamian jakąś nagrodę. Włożyli więc swoje najlepsze togi – wszystkie źródła podkreślają, że się wówczas wystroili – i ruszyli na miejsce budowy z nowinami dla Cezara. Zastali go w otoczeniu niewolników, klientów i papierów. Podeszli do niego z całą godnością, na jaką może sobie pozwolić gromada próżniaków w wełnianych togach. Cezar zaś ich zignorował. Teoretycznie powinien był wstać, mając przed sobą senatorów w formalnych strojach, ale on nawet na nich nie spojrział. Jego przyjaciel Gajusz Trebacjusz, najwyraźniej umierając z zażenowania, grzecznie zasugerował, że może Cezar zechce porozmawiać z tymi sympatycznymi ludźmi, którzy przeszli taki kawał drogi. Mikołaj wkłada w usta Trebacjusza słowa: „Spójrz na tych ludzi przybyłych do ciebie”, i łatwo wyczuć zażenowanie w tym zdaniu. Cezar odpowiedział jedynie pełnym pogardy zerknięciem i – jak sobie wyobrażam – westchnieniem. Ostatecznie podniósł wzrok i wysłuchał gości, ale nawet na moment nie wstał. Wymienili całą listę swoich podarków dla Cezara, ten jednak pozostał niewzruszony. Odpowiedział, że niektórych z zaszczytów nie chce, ale pozostałe przyjmie, po czym odesłał ich i wrócił do pracy. Upokorzył senat. A senatorowie nie byli ludźmi, którzy zwykli być upokarzani. Byli najznakomitszymi ludźmi w całym imperium. Mieli być traktowani z szacunkiem przez wszystkich, również przez siebie nawzajem. (Polecam przeczytać zachowane listy wymieniane między rzymskimi senatorami – mniej więcej połowa każdego poświęcona jest temu, jak wspaiałym człowiekiem jest adresat; coś obrzydliwego). Cezar powinien być wdzięczny i udawać,

że jest takim samym człowiekiem jak oni. To, co zrobił, było jednak jak splunięcie im w twarz.

Ten drobny epizod dla wielu senatorów okazał się momentem wstrząsającym. Późniejsze źródła sympatyzujące z Cezarem starają się znaleźć powody, dla których nie mógł on wówczas wstać. Plutarch, wybacząc mu, zwała winę na przyjaciela Cezara, Korneliusza Balbusa, twierdząc, że to on nie pozwolił Cezarowi wstać, mówiąc, że senatorowie chcą go potraktować jako kogoś wyższego. Balbus miał fizycznie przytrzymać ramię Cezara, gdy ten usiłował wstać. Całkiem niedorzeczna historia. Moim osobistym ulubieńcem jest tu Kasjusz Dion, zagorzały fan Cezara. Wykłada on swoje stanowisko zaraz na początku relacji, pisząc, że Kasjusz i Brutus zniszczyli jedyną stabilną władzę, jaką kiedykolwiek cieszył się Rzym – a Cezara zabili wyłącznie z zazdrości i głupoty. Nawet Dion jednak ma problem z tym, że Cezar nie wstał pośród senatorów – ostatecznie on sam był rzymskim senatorem i nawet o tym raz czy dwa wspomina. Twierdzi więc, że „niektórzy mówią”, iż Cezar tego dnia cierpiał z powodu biegunki, nie mógł więc wstać i powitać należycie senatorów z obawy przed krępującym wypadkiem. Jeśli biegunka jest najlepszym usprawiedliwieniem, jakie potrafi wymyślić twój największy fan, wiedz, że naprawdę zrobiłeś coś złego. Nawet Dion musi przyznać, że chwilę później Cezar zdołał jednak wstać i pójść do domu. Nie chce jednak przyznać, że cała ta historia stanowiła wystarczający powód do zamordowania Cezara. Dion żył w epoce, gdy cesarze znacznie górowali nad senatorami i gdy cesarze nie wstawali w towarzystwie senatorów. Senatorowie z roku 44 p.n.e. nie byli jednak przyzwyczajeni do takiego traktowania.

W czasie krótkiej niezręcznej ciszy między ich triumfalnym przybyciem do Cezara a dyskretnym kasznięciem Trebacjusza niektórzy z nich po raz pierwszy zorientowali się, że nie oni rządzą teraz Rzymem. Rządzą nim Cezar.

Użyteczną stroną źródeł spisanych poza Rzymem i oddalonych w czasie od opisywanych wydarzeń stanowi to, że potrafią być bardzo przenikliwe, jeśli chodzi o relacje między senatorami a Cezarem w roku 44 p.n.e., nawet jeśli autorzy są zdumieni czy przerażeni samym morderstwem. Plutarch na przykład pisze, że senat uznawał dyktaturę Cezara za mile widzianą ulgę od wcześniejszych wojen, które w ostatnich dziesięcioleciach zrujnowały lub zabiły wielu ich przyjaciół i krewnych. Łatwo się zdystansować od przeszłości, pisząc, że „wojna domowa trwała cztery lata”, zapominając przy tym, jak trudne do zniesienia były te cztery lata dla Rzymian, których połowa musiała wyrzynać drugą połowę, nie wiedząc, kiedy to wszystko się skończy. Cztery lata to długi czas w życiu pojedynczego człowieka. Spróbujcie sobie przypomnieć, co robiliście cztery lata temu, a sami to poczujecie. Całkowite zwycięstwo Cezara, jego godna podziwu chęć wybaczenia stronnikom Pompejusza, perspektywa pokoju i powrotu do normalności stanowiły więc ulgę dla Rzymian. Ale, jak pisze Plutarch, kiedy nieobliczalny autokrata przejmuje władzę na stałe, wtedy ludzie konfrontują się z realiami funkcjonowania pod rządami nieobliczalnego autokraty – i zaczynają sobie zdawać sprawę, że żyją w tyranii. Tę zaś można tolerować, jeśli jest zawoalowana, a Cezar czynił ją coraz bardziej jawną.

Kolejna bardzo przenikliwa uwaga pochodzi od Appiana, który bez wątplenia wiele czasu spędził na rozmyślaniu, co się

właściwie odbywało w tym całym Rzymie. Próbował usilnie zrozumieć, dlaczego senatorowie najpierw chcieli dobrowolnie przyznać Cezarowi tak wiele zaszczytów, przywilejów i ładnych butów, dlaczego go honorowali i czcili, a potem nagle wpadli w morderczy szal, gdy on zaczął z tych wszystkich przywilejów korzystać. Najwyraźniej Appian nie był przyzwyczajony do typowej dla senatu dwulicowości i hipokryzji. Próbował jednak. Ostatecznie doszedł do następującej konkluzji: chodziło o jedno słowo. Cały problem nie dotyczył złotego krzesła, czerwonych butów ani modłów za Cezara i całej tej reszty. Problemem było użycie słowa „*rex*”. Appian był tym trochę zdumiony: ostatecznie dożywotni dyktator to dokładnie to samo co król. To wymienny tytuł. Jak mówi Shakespeare, gdyby różę nazwać inaczej, pachniałaby równie słodko. Wedle Appiana – i praktycznie każdego pisarza z epoki cesarskiej – król nazwany dyktatorem nadal jest po prostu królem. Dla Rzymian z roku 44 p.n.e. słowo to miało jednak znaczenie. Ogromne. Senat całą tożsamość zbudował na fakcie, że Rzymianie obalili królów i stworzyli swą doskonałą republikę. No tak, teraz republika nieco podupadła, ale to wcale nie znaczyło, że nie mieli racji, pozbywając się królów. To było ich zdecydowanie najdoskonalsze osiągnięcie kulturalne. Lepsze nawet od podbicia każdego innego miasta, jakie tylko zdołali znaleźć. Koncepcja króla stanowiła dla wychowanych w republice Rzymian absolutne tabu, a samo słowo „*rex*” służyło niemal za wyzwisko. Irytujące było więc dla optymatów, jak również dla wielu popularów, gdy pojawiły się sugestie, że Cezar mógłby przyznać sobie ten zakazany tytuł.

Po pierwsze, Cezar planował znów zebrać swą armię i po raz siedemdziesiąty ósmy spróbować podbić Partów¹². Marszerowanie na Partię było bardzo wyraźnym sygnałem, że rzymski wódz i imperator nie mieści się już w swych czerwonych butach, ale tym razem niepokój miał jeszcze inne uzasadnienia. Rzymianie dysponowali księgą z prorocत्वami, znaną jako Księgi sybillińskie, którą miała sprzedać grecka wieszczka ostatniemu królowi Rzymu, Tarkwiniuszowi Pysznemu. Księgę bardzo ceniono i uważano za prawdziwe i jasne słowa bogów*. Trzymano ją w skarbcu pod świątynią

* Księgi sybillińskie były niekompletnym zestawem niejasnych prorocत्व, spisanych rzekomo po grecku przez grecką wieszczkę, natchnioną przez bogów. Legenda głosi, że pewnego dnia Sybilla pojawiła się na progu siedziby ostatniego króla Rzymian, Tarkwiniusza Pysznego, trzymając w ręku dziewięć tomów swych przepowiedni, które zaproponowała władcy za wygórowaną cenę. Tarkwiniusz rzucił okiem na starą Greczynkę i powiedział jej, żeby spadała. Tak zrobiła, spaliła trzy z ksiąg i wróciła do króla następnego dnia, oferując mu pozostałe sześć za poprzednią cenę. Potwornie zirytowany król-tyran powiedział jej, żeby spadała podwójnie, dorzucając jeszcze do tego nieco szyderstw. Sybilla znów odeszła, spaliła kolejne trzy księgi, a następnego dnia wróciła do Tarkwiniusza, by zaoferować mu zachowane trzy za cenę, jaką wcześniej chciała za dziewięć. W tym momencie Tarkwiniusz zgłupiał. Ona nie przejęła się jego szyderstwami ani trochę, a jak widać, wartość jej ksiąg stale wzrastała. Tarkwiniusz wezwał więc swoich wieszczów i spytał ich o radę, na co odpowiedzieli: „Człowieku, coś ty narobił?! Boże drogi, szybko, kupuj resztę ksiąg! Czemu, do cholery, nie wezwałeś nas wcześniej? Co z tobą?!”. Kupił więc trzy księgi, a Rzymianie opierali się na nich przez kilka kolejnych stuleci.

Jowisza, pilnie strzeżono i konsultowano się z nią tylko przy wyjątkowych okazjach. W roku 44 p.n.e. pojawiły się plotki, że księgi te zawierają prorocstwo, iż Partów może zwyciężyć tylko król Rzymu, a Cezar wykorzysta tę informację – której żaden zwyczajny Rzymianin nie będzie mógł sprawdzić – by wymóc na senacie przyznanie mu tytułu króla, na początek może króla którejs z prowincji. Nie po raz pierwszy zmanipulowałyby rzymskie wierzenia dla własnych celów, pogłoska więc naprawdę przerażała ludzi.

Później problemy zaczęli sprawiać trybunowie Marullus i Cezecjusz. Do pierwszego incydentu doszło, gdy na pomniku Cezara znaleziono diadem. Na wielkim złotym pomniku Cezara. Diadem stanowił zaś tradycyjną rzymską koronę – biała opaska i wieniec z liści laurowych. Była to ostateczna oznaka władzy królewskiej. Ale to tylko na pomniku – możecie pomyśleć. Wielka sprawa! Kogo to obchodzi? Rzymian obchodziło – i to bardzo. Pomniki były przestrzenią publiczną, w której Rzymianie mogli wyrazić swoje opinie na temat postaci życia politycznego. Wedle zwyczaju anonimowi ludzie reagowali na czyny polityków, celebrytów, a nawet cesarzy, za pośrednictwem napisów na ich pomnikach. Niepochlebny wierszyk na posągu był tym, czym w naszych czasach jest komentarz na Twitterze. Wszystkie źródła podkreślają, że jednym z czynników skłaniających Brutusa do przystąpienia do spisku przeciw Cezarowi stała się seria napisów na jego pomniku, twierdzących, że hańbi on imię rodziny, pozwalając Cezarowi rządzić. Napisy na pomnikach umożliwiały też badanie opinii publicznej w sprawie jakiejś osoby albo wydarzenia. Znalezienie diadem na złotym pomniku Cezara stanowiło więc niepokojący

sygnał – niektórzy ludzie w Rzymie mogą naprawdę chcieć, by Cezar został królem. Marullus i Cezecjusz nie byli zbyt zadowoleni. Znaleźli człowieka, który umieścił diadem na pomniku – jego imię niestety nie zostało przekazane potomności – i wtrącili go do więzienia. Tak bardzo Rzymianie nienawidzili królów. Przystępstwem było samo wypowiedzenie słowa „król” w przestrzeni publicznej, tak jak dziś w Niemczech przestępstwem jest wykonanie faszystowskiego salutu. Już samo to wydarzenie zwiększyłoby atmosferę niepewności wokół ambicji i statusu Cezara, jak również przyszłości Rzymu. Zdarzył się jednak jeszcze jeden dość podobny incydent. Pewnego dnia Cezar jechał na swym koniu, gdy jacyś jego wielbiciele – a politycy w świecie rzymskim mieli status piosenkarzy z boysbandów – pozdrowili go okrzykiem „Rex”. Po łacinie „rex” to król, ale to również rzymskie imię, więc Cezar gładko, pokazując, dlaczego był tak dobry w swojej robocie, zaśmiał się i odparł: „Nie jestem Rex, jestem Cezar”, tak jakby tłum po prostu pomylił imię. Niesamowicie szybka riposta. Problem został zażegnany, dopóki Marullus i Cezecjusz nie usłyszeli o sprawie, nie wytropili tych fanów Cezara i nie kazali ich ukarać. Tym razem Cezar wkurzył się i stracił cierpliwość.

Zwołał senat i zaciągnął przed jego oblicze obu trybunów. Jak pamiętacie ze sprawy Tyberiusza Grakchusa, trybunowie byli kimś niemal świętym. Teoretycznie mieli dysponować władzą równą konsulom – najwyższemu rzymskiemu urzędowi – i mieli być chronieni przed ingerencją ze strony innych rzymskich urzędników. Cezar oskarżył jednak dwóch trybunów o spiskowanie przeciw niemu. Twierdził, że po prostu wymyślili obie historie, aby go osaczyć. Uznał to wszystko

za prowokację, w których jego wrogowie, trybuni, nakłonili ludzi do nazywania go królem, aby powstało wrażenie, że naprawdę chce zostać królem. Dość dziwne i skomplikowane, ale całkiem prawdopodobne, jeśli się pomyśli o rzymskich senatorach. Dion na przykład uważał, że tak właśnie było. Inne źródła różnie obstawiają. Cezar wrzeszczący na trybunów nie zrobił jednak dobrego wrażenia. Potem zaś posunął się naprawdę za daleko. Pozbawił ich godności trybunów i władzy, a następnie wygnał z siedziby senatu. To była prawdziwa tyrania. Oto Cezar popisывał się swoją władzą i swoją pogardą dla konstytucyjnych praw senatu. Mógł zdjąć z urzędu najbardziej czczonych i potężnych ludzi, a potem kazać ich wyrzucić. Jeśli kogoś nie obeszło zdarzenie z niewstawaniem, to tym razem był już na pewno poruszony.

Później nastąpił słynny incydent na Luperkaliach*. Wszyscy mniej więcej wiedzą, o co chodzi: Marek Antoniusz, najlepszy kolega Cezara i współnik w jego zbrodniach (dosłownie), klęknął przed Cezarem, ofiarując mu koronę. Są dwie wersje tej historii – jedną opowiada Mikołaj z Damaszku, inną opowiadają wszyscy pozostali, ale najważniejsze szczegóły są takie same w obu wersjach. Właśnie odbywało się organizowane 15 lutego święto zwane Luperkalia, kończące się wspólnym spektaklem, w czasie którego najszlachetniejsi mieszkańcy miasta rozbierali się, mordowali owcę, nacierali się oliwą, a potem biegali po mieście, chłoscząc kobiety rzemieniami. Dla zwiększenia ich płodności, oczywiście. Ludzie to uwielbiali.

* Luperkalia – święto ku czci Fauna, boga żyzności i trzód, obchodzone 15 lutego (przyp. red.).

Wszyscy przychodzili popatrzeć i dać się uderzyć nagiemu senatorowi na szczęście. Wspaniały dzień dla całej rodziny. Juliusz Cezar oczywiście też tam był, siedział na swym tronie ze złota i kości słoniowej, wywyższony ponad wszystkich na Forum, gdzie kończył się bieg. Miał na sobie swoją jasnopurpurową togę i jasnoczerwone buty. Błyszczał ponad tłumem i lśnił na tle senatorów, odzianych w codzienne białe szaty. Wyraźnie było widać, że jest kimś wyjątkowym. Od tego miejsca relacje zaczynają się różnić. Mikołaj mówi, że inny przyjaciel Cezara, imieniem Licyniusz, wyciągnął diadem (choć Mikołaj myśli, że diadem i wieniec laurowy to zupełnie dwie różne rzeczy, więc może nie jest do końca na bieżąco z rzymskimi zwyczajami). Cezar dostrzegł to i wysłał niejakiego Lepidusa, by przeszkodził Licyniuszowi. Wtedy trzeci facet, Longinus, wyrwał diadem Licyniuszowi (przepraszam, że wszyscy bohaterowie tej opowieści nazywają się niemal tak samo) i położył go na kolanach Cezara. Cezar go strącił, więc Antoniusz – nagi i naoliwiony – skoczył i włożył diadem na głowę Cezara. Ten zaś zdarł go z przerażeniem i cisnął w stronę tłumu. Bardzo mnie bawi ta wersja, bo widzimy w niej, jak Cezar walczy z wszystkimi swymi przyjaciółmi, którzy próbują wcisnąć mu koronę na głowę. Jeden z nich zresztą ze wszystkim na wierzchu. Tłum, wedle wersji Mikołajaja, miał błagać Cezara, by przyjął koronę. Mikołaj przedstawia więc Cezara jako człowieka niewinnego, podczas gdy wszyscy jego znajomi, jak również rzymski lud, desperacko próbują mu wmusić królewską koronę.

Żadne z pozostałych czterech źródeł nie miesza do sprawy wszystkich przyjaciół Cezara. W tych wersjach cała scena

rozgrywa się między Antoniuszem a Cezarem. W każdej z nich Antoniusz kończy swój bieg do Forum i choć jest nagi, wyjmuje skądś schowany specjalnie diadem (lepiej o tym zbyt wiele nie myśleć). Następnie zbliża się do Cezara i wkłada mu diadem na głowę. U Diona, najpóźniejszego ze wszystkich źródeł, Antoniusz mówi: „Za moim pośrednictwem lud ci to ofiarowuje”, na co Cezar odpowiada: „Królem Rzymian jest tylko Jowisz”. U Diona Cezar jest więc równie niewinny i zachowuje się nieskazitelnie. U Plutarcha i Appiana, najbardziej wrogich wobec Cezara, obserwujemy dłuższą przepychankę między Antoniuszem a Cezarem, w czasie której ten drugi obserwuje, jak tłum reaguje na wkładanie i odrzucanie korony. U Plutarcha tłum zachowuje milczenie, gdy Cezar otrzymuje koronę, i wybucha radością, gdy ją odrzuca. A wszystko to powtarza się dwa razy, aby nie było wątpliwości, że ludzie nie chcą mieć króla. U Appiana ludzie buczą, gdy otrzymuje koronę, a klaszczą, gdy ją odrzuca. Też dwa razy. W tych wersjach Cezar i Antoniusz testują lud rzymski. Tak jak rządy sprawiają, że jakiś plan „wycieka”, aby bezpiecznie sprawdzić reakcję elektoratu, tak samo Cezar pozwolił, aby „wyciekła” idea jego królowania.

Którąkolwiek interpretację przyjmiemy, do samego zdarzenia doszło, a optymaci zareagowali alergicznie. Diadem został odrzucony, ale przez chwilę na własne oczy widzieli człowieka – przyjaciela lub wroga – siedzącego na złotym tronie w czerwieni i purpurze z królewską koroną na skroniach, a to ich bardzo zaniepokoiło. Cezar miał za kilka tygodni opuścić miasto, by toczyć swoją kolejną wojnę. Zdecydował już, kto będzie konsulem, a kto zasiądzie na innych urządach pod

jego nieobecność. Miał zamiar z odległości nadal kontrolować rozwój spraw w mieście. Wydawało się, że nic go nie zatrzyma. Był królem pod każdym względem z wyjątkiem samej nazwy, a przez krótką chwilę był również zwany królem. Optymacy byli zrozpaczeni.

Warto tu się na chwilę zatrzymać i pomyśleć, czego chcieli optymacy, gdy zaczęli formułować swój plan. Spisek miał trzech przywódców: Marka Juniusza Brutusa, Gajusza Kasjusza Longinusa i Decymusa Juniusza Brutusa Albinusa, szerzej znanych jako Brutus, Kasjusz i ten drugi Brutus, o którym wszyscy zawsze zapominają. Cynceron napisał list do swego najlepszego przyjaciela Attyka (urocze jest to, że wszyscy zawsze mają tu najlepszych przyjaciół) 8 czerwca 45 roku p.n.e. – dziesięć miesięcy przed morderstwem – z willi Marka Brutusa w Ancjum i widać w nim już początek spisku. Brutus martwił się, że nie jest bezpieczny, Kasjusza dręczyło to samo. Mężczyźni i ich żony (które jako element poboczny są zawsze wycięte z historii) dyskutują, czy Brutus i Kasjusz w ogóle powinni wracać do Rzymu. List Cyncerona kończy się radością z przyznanej mu na pięć lat pracy, ale równocześnie pojawia się lament: „Czemu jednak myślę o pięciu latach? Jeśli się nie mylę, koniec jest już bliski”¹³. Nastroje pośród senatorów są już dość ponure. Uważają, że grozi im stałe niebezpieczeństwo, bo ich kariery zależą teraz od nastroju Cezara, a nie od ich własnych działań politycznych. Zanim jeszcze w lutym doszło do incydentu na Luperkaliach, panował nastrój rozpacz i desperacji. Konspiratorzy chcieli ratować republikańską karierę, a także odzyskać wolność, i w tym celu byli gotowi na wszystko.

Wolność rzymskich arystokratów to jednak nie to samo co nasza wolność. Nasza dotyczy braku jakichkolwiek opresyjnych ograniczeń wobec naszego życia i zachowania. Wolność rzymskich arystokratów oznaczała prawo do zwalczania się nawzajem zgodnie z regułami i do zdobywania władzy politycznej. Ci ludzie byli właścicielami niewolników – całych rzesz – legalnie utrzymywali kobiety w stanie poddaństwa i różnice prawne między wymyślonymi kategoriami patrycjuszy i plebejuszy. Nie chcieli wolności, chcieli prawa do zostania Cezarem. Jak powiedziała kiedyś wspomniała Gretchen Weiners: „Brutus jest równie ładny jak Cezar, tak? Brutus jest równie bystry jak Cezar, a ludzie lubią Brutusa tak samo jak Cezara. Kiedy więc uznano, że jest w porządku, by jeden człowiek był szefem wszystkich? W ogóle nie o to chodziło w Rzymie!”

Tak więc zawiązał się spisek. Nigdy nie doszło do spotkania całej sześćdziesiątki (czy też osiemdziesiątki, jeśli chcemy wierzyć Mikołajowi) spiskowców. Byli podzieleni – jak prawdziwi rewolucjoniści – na małe grupy. Niewielu ludzi w każdej z komórek wiedziało, kto jest w innej. Spotykali się w prywatnych domach niczym zwyczajni przyjaciele, omawiając, w jaki sposób można się pozbyć Cezara. Wiedzieli też, że czas nagli – miał wyruszyć do Partii 20 marca, a wtedy na kilka lat stałby się nietykalny. Generalnie przeciwstawiali się wszystkim planom, w których ktoś miałby się mierzyć ze strażą Cezara czy kimkolwiek innym skłonny go bronić. Wszyscy chcieli zachować życie i kontynuować kariery, rywalizując ze sobą po śmierci Cezara. Wobec tego plany, by zepchnąć go z mostu w czasie głosowania albo napaść na via Sacra na Forum, albo zaskoczyć wchodzącego do teatru, zostały odrzucone jako

zbyt niebezpieczne. Najwyraźniej zainterweniowała Fortuna, sprawiając, że Cezar sam zwołał posiedzenie senatu na 15 marca. Siedziba senatu stanowiła idealne miejsce – mogli się zbliżyć, nie wzbudzając podejrzeń. Do środka nie można było wnosić broni, więc pozostali senatorowie byliby nieuzbrojeni, a sam Cezar byłby tam bez straży.

Wedle Appiana wierzyli też, że zabicie Cezara w budynku senatu, który był przestrzenią świętą, pokazałoby jasno, że dokonują swego czynu w imię państwa rzymskiego, a nie z powodu osobistej zemsty. Ten sam powód przekonał ich do tego, by nie zabijać Antoniusza. Mieli nadzieję, że ludzie będą postrzegać morderstwo jako zabicie tyrana i próbę przywrócenia republiki, a nie element rywalizacji konkurencyjnych stronnictw politycznych. Cynceron narzekał później na tę decyzję, pisząc, że wykazali się męską odwagą, ale jednocześnie dziecinną strategią¹⁴. Co jest prawdą. Była to desperacka i żalonna próba przedstawienia morderstwa popularnego lidera jako akceptowalnego działania i ratowania własnej reputacji. W końcu obaj Brutusowie i Kasjusz chcieli wyjść z tego morderstwa jako bohaterowie nagrodzeni urzędem konsula lub chociaż namiestnika jakiejś miłej prowincji. Zadziałało to fatalnie, ale możemy sobie wyobrazić, jak się nawzajem przekonują, że wszystko pójdzie dobrze.

Nadeszły idy marcowe i czas powoli płynął w stronę planowanego spotkania senatu. Cezarowi towarzyszyły również złe omeny co w wypadku jego poprzednika, Tyberiusza Grakchusa. Każde źródło przytacza inne znaki, wszyscy bowiem naprawdę kochali wróżby. Swetoniusz opowiada długą anegdotę o znalezieniu w Kapui grobu, którego przeniesienie

miało zakończyć się „mordem syna Troi przez jego pobratymców, mszczonym ciężko w całej Italii”, co jest podejrzenie szczegółowym proroctwem. Oczywiście Cezar lubił opowiadać wszystkim, że jest potomkiem bogini Wenus, podczas gdy sami Rzymianie wierzyli, że pochodzą od Eneasza, który uciekł spod Troi. W żadnym innym źródle ta anegdota się jednak nie pojawia. Plutarch ma niezłą historię o tym, jak Cezar rozpruwa zwierzę ofiarne i przekonuje się, że nie ma ono serca. Wyjaśnia, że to nie jest normalne, na wypadek, gdyby czytelnik tego nie wiedział. Swetoniusz też wstawia tę anegdotę, ale w jego wersji Cezar prycha pogardliwie, mówiąc, że gdyby zechciał, aby zwierzę miało serce, toby miało. Co jest dość twardzielską odpowiedzią na ten koszmarny omen. Najślawniejszy omen to ten pochodzący od wieszczka, który u Shakespeare’a mówi: „Strzeż się id marcowych”. Shakespeare zapożyczył historyjkę od Plutarcha, pojawia się ona również u Appiana, Swetoniusza i Diona. Wieszcz miał się nazywać Spuryinna. W większości wersji Cezar widzi go ponownie na drodze do senatu i kpi z niego, mówiąc, że idy nadeszły, a on ma się świetnie, na co Spuryinna odpowiada, że idy nadeszły, ale jeszcze nie przeszły.

Wszystkie źródła budują napięcie narracyjne, pokazując, że Cezar nie chce iść do senatu. Źle się czuje, miał złe sny, jego żona Kalpurnia miała złe sny, były te wszystkie omeny i Kalpurnia się denerwuje. Tymczasem spiskowcy nerwowo czekali w siedzibie senatu. Ostatecznie wysłali Decymusa Brutusa, by przekonał Cezara do przyścia. Decymus zdołał przekonać Cezara, że jest w senacie potrzebny, zaczęli więc zbierać się do wyjścia. Wedle świadectwa Plutarcha pewien niewolnik

próbował ostrzec Cezara, ale utknął w tłumie ludzi przed domem i nie mógł do niego dotrzeć – ta wstawka jest niemal kinowa. Wreszcie, gdy słońce już zachodziło, Decymus, Cezar i Antoniusz zjawili się w siedzibie senatu. Zanim cokolwiek się zaczęło, Cezar jako człowiek, który zwołał spotkanie, musiał poświęcić bogom ofiarę, by przekonać się, czy bogowie chcieli, aby w tym momencie odbyło się spotkanie senatu. Taka była tradycja. Ofiara przyniosła jednak złe nowiny: bogowie chcieli, by senatorowie się rozeszli. Zabili więc kolejne zwierzę i zajrzeli w jego wnętrzności. Ta sama odpowiedź. Wprowadzono kolejne, ogłuszono i poćwiartowano. Nadal nie doczekano się dobrych znaków. Wedle wersji Appiana Cezar nie chciał irytować senatorów, dlatego postanowił zignorować znaki. W wersji Mikołaja Cezar chciał iść do domu, ale Brutus nazwał go tchórzem, który nie ma na tyle męstwa, by zignorować jakieś złe znaki. Najwyraźniej trafił w czuły punkt, bo to zadziało. Cezar wkroczył do siedziby senatu, a Decymus Brutus nagle odciągnął Antoniusza na bok, mówiąc, że ma do niego ważną prywatną sprawę. Gdy Cezar szedł po schodach, otoczył go – jak zawsze – tłum ludzi proszących o przysługi. Jeden z nich wciskał mu jakiś kawałek papieru, błagając, by go natychmiast przeczytał, by ratować własne życie. Cezar szedł jednak dalej.

Siedziba senatu przylegała do teatru Pompejusza, zbudował ją sam Pompejusz, w czasie gdy Cezar zajęty był podbijaniem Galii. Był to wspaniały budynek, prawdziwa świątynia rzymskiej władzy senatorskiej. W centrum stał pomnik Pompejusza. Senatorów było około trzystu, czekali wówczas już bardzo długo. Gdy Cezar wreszcie przyszedł, wszyscy wstali, a kilku natychmiast do niego podeszło. Nie było to miejsce spokojnej

godności, wypełnione białymi togami i białymi kolumnami, jakie często widzimy w filmach. Było to miejsce tętniące życiem, wypełnione nieustannym harmidrem. Cezar poszedł w stronę swojego wspaniałego siedziska, nieświadomy, że Antoniusza wyproszono na zewnątrz i że morderczy spisek zaczęło już wprowadzać w życie. Wówczas człowiek zwany Tyliusz Cymber (głupie nazwisko) podszedł do Cezara i padł przed nim na kolana, błagając o sprowadzenie brata z powrotem z wygnania. Cezar go odegnał, ale Cymber w desperacji chwycił jego togę. Gdy wszystko to się działo, reszta spiskowców podeszła w stronę Cezara. Cymber zerwał mu togę, odsłaniając jego szyję. To był umówiony sygnał. W wersji Swetoniusza Cezar poczuł się urażony napaścią Cymbra i krzyknął: „Cóż to, gwałtu się dopuszczasz?!”. U Appiana Cymber krzyczy: „Na co czekacie, przyjaciele?!”. We wszystkich innych wersjach pierwszy cios przychodzi jednak bez zapowiedzi. Pierwszym, który ugodził Cezara, był Publiusz Kaska. Podszedł z tyłu i celował w szyję. Nie trafił i wbił sztylet w ramię Cezara. Morderstwo się rozpoczęło.

Reakcja Cezara na pierwszy cios wygląda inaczej w poszczególnych źródłach. Mikołaj pisze, że w ciszy podskoczył, ale zaraz otrzymał mieczem uderzenie w bok, wymierzone przez brata Kaski. U Swetoniusza Cezar chwytą za ramię Kaskę, wciąż zaciskającego w dłoni zakrwawiony miecz, dźga go swym stylusem, po czym otrzymuje cios z jakiejś anonimowej ręki. W opowieści Plutarcha Cezar chwytą nie tyle ramię Kaski, co samo ostrze, niczym superbohater, po czym krzyczy: „Kasko, ty zbrodniarzu, co robisz?!”. Następnie otrzymuje cios od jego brata. W wersji Appiana Cezar wstaje, chwytając

Kaskę i kręcąc nim po pokoju, ale równocześnie odsłaniając swój drugi bok. U Diona Cezar jest najbardziej łagodny i żaloszny. Nie potrafi zareagować, a napastnicy natychmiast do niego dopadają. W większości wersji Cezar jest pokazywany jak ranne zwierzę, rzućane z jednego ostrza na drugie, oszołomione i krwawiące, póki na posadzce nie powstaje tak wielka kałuża krwi, że ofiara wreszcie się przewraca u stóp swojego dawnego wroga, Pompejusza. U Swetoniusza, Diona, Plutarcha i Appiana w ostatniej chwili Cezar zakrywa się togą. Tylko u Swetoniusza i Diona padają ostatnie słowa, nie po łacinie, ale w grece: „καὶ σὺ, τέκνον”. Znaczący to: „ty też, mój synu”, co Shakespeare przerabia na łacinę (publika z okresu Tudorów prawdopodobnie nie była zbyt biegła w starożytnej grece) w najsmutniejszym wersie świata: „*Et tu, Brute?*”. Gajusz Juliusz Cezar zmarł po otrzymaniu dwudziestu trzech ciosów, leżąc w kałuży krwi – własnej i innych ludzi – na posadzce senatu.

Bezpośrednim rezultatem morderstwa był chaos. Po krótkim okresie przebaczenia nastąpiła fala gniewu. Zjawił się bowiem Oktawian, szukający zemsty na Kasjuszu i Brutusie. Rzymska arystokracja gwałtownie podzieliła się w swych reakcjach na morderstwo. Cyceron na przykład głośno bronił morderców. W o wiele późniejszym dziele *O powinnościach* pisał, że zabicie tyrana jest jak amputacja przeżartej gangreną kończyny. W opinii Cycerona zabicie Cezara nie było morderstwem, bo tyran traci swoje człowieczeństwo. Był to akt nieszczęśliwy i nieprzyjemny, ale nie było to morderstwo. Oczywiście sam Cyceron w roku 63 p.n.e. skazał Katylinę na śmierć jako wroga państwa – mimo sprzeciwu Juliusza

Cezara, bez procesu – więc tą argumentacją bronił nie tylko zamachowców, ale i samego siebie. Przyjaciel Cycerona Gajusz Macjusz miał zupełnie inne zdanie. Macjusz uważał, że Cezar był ostatnią nadzieją republiki: „Jeśli geniusz poniósł porażkę, jaką nadzieję może mieć ktokolwiek inny?”¹⁵. Macjusz nie miał też czasu na filozofowanie Cycerona. Co do zasady może i rzeczą etyczną jest usunięcie tyrana, ale w tej konkretnej sytuacji, w której znaleźli się Rzymianie, nie uważał, że zabicie Juliusza Cezara stanowiło dobry pomysł. Poza tym udział Brutusa w morderstwie Cezara to naruszenie zasad przyjaźni, co dla Macjusza nie znajdowało usprawiedliwienia. Tego typu spory toczono wówczas w każdym domu i na każdym placu.

Publiczne postrzeganie zabójstwa Cezara również się zmieniło. W pierwszych dniach po morderstwie wydawało się, że wszystko ułoży się po myśli morderców: senat pod przewodnictwem Antoniusza przebaczył im winę. Zabójstwo uznano na moment za akt dokonany z powodów potencjalnie szlachetnych. Mordercy nie zostaliby ukarani, bo nie dopuścili się żadnego karygodnego czynu. Spokój nie trwał jednak zbyt długo. Wbrew nadziejom morderców, podkopując całkiem ich zamierzenia, senat przyznał Cezarowi publiczny pogrzeb. Jego przyjaciele przygotowali figurę woskową Cezara, umieścili ją na postumencie z kości słoniowej na złotym ołtarzu, otaczając ją purpurą i odziewając w ubranie, które miał na sobie w chwili śmierci. Jego przesiąknięta krwią, poszarpana tunika zawisła w centrum tej wspaniałej świątyni. Przesłanie było łatwe do odczytania: nasz ukochany i święty Cezar został nam odebrany. Antoniusz w swojej mowie pochwalnej przywołał uchwałę senatu przyznającą Cezarowi najwyższe zaszczyty,

a także przytoczył przysięgę senatorów, którzy ślubowali bronić Cezara. W tym momencie nastroje zaczęły się zmieniać, a śmierć Cezara stała się w umysłach Rzymian zwyczajnym morderstwem. I Rzymianie wpadli w gniew.

Kasjusz i Brutus nie potrafili zrozumieć, a może zwyczajnie zignorowali fakt, że seria morderstw senatorów, zabójstw ulicznych sankcjonowanych przez władze, arbitralnych wyroków śmierci, a także wojen domowych, zmieniła świat, w którym żyli. Myśleli, że mogą być jak bohaterowie klasyczni – jak Brutus, który obalał królów. Zapomnieli jednak, że Brutus obalał królów z pomocą i za zgodą (niemal) wszystkich senatorów, a swoją sprawę przeprowadzał jawnie na Forum. Tamten Brutus nie szykował przewrotu pokątnie, w sekrecie i strachu, pośród gromadki równie przestraszonych przyjaciół. Tyberiusz Grakchus zastał zatłuczony na śmierć przez większość senacką, pracującą zgodnie, a jego brat został zmuszony do samobójstwa przez większość jeszcze liczniejszą. Czasy się jednak zmieniły przez sto lat od okresu, kiedy senatorowie mogli się nawzajem własnoręcznie mordować i kiedy wydało się to czymś honorowym. Zresztą nawet Milon musiał odpowiedzieć przed sądem za morderstwo Klodiusza, chociaż tego ostatniego nikt tak naprawdę nie lubił. Ale senat nie był już jednością, a ludzie nie byli tak uciśnieni i pozbawieni praw. Dwa stulecia morderstw zrodziły nowy świat, a mordercy Cezara zrozumieli to za późno.